

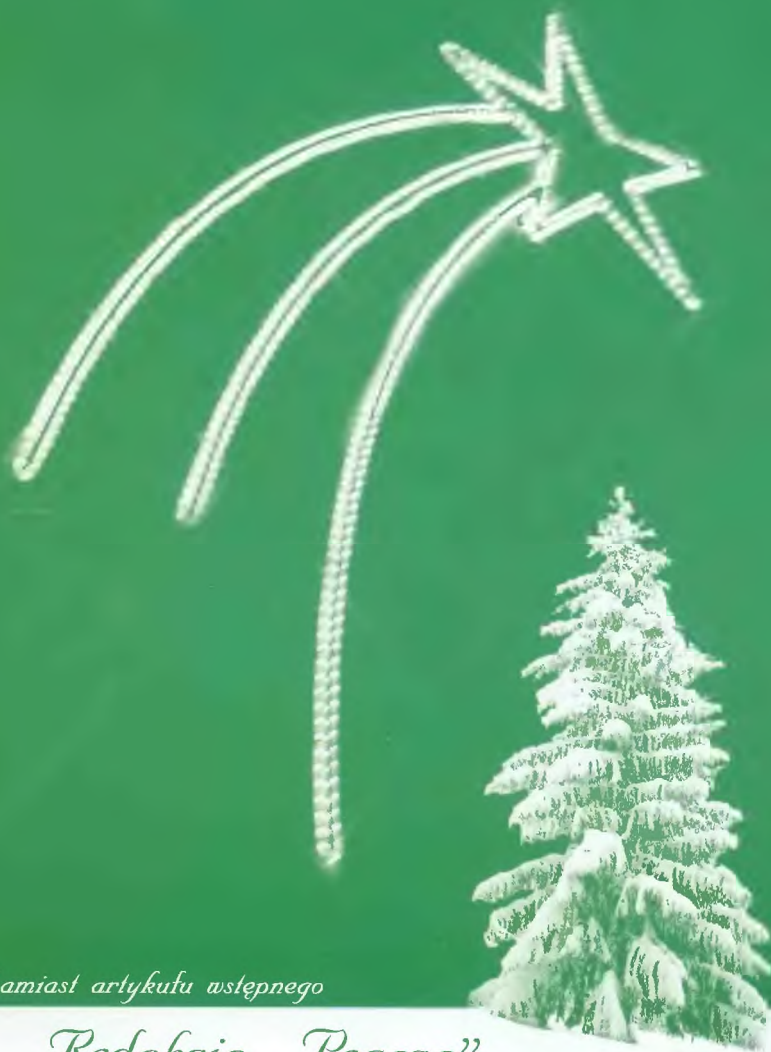
P O Z N A Ń S K I



PEGAZ

FINANSE - KOMUNIKACJA SPOŁECZNA - KULTURA - 2004





Zamiast artykułu wstępnego

Redakcja „Pegaza”

składa

*najserdeczniejsze życzenia
zdrowych i spokojnych
Świąt Bożego Narodzenia
i Szczęśliwego Nowego Roku 2005*

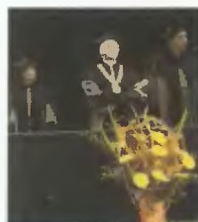
oczywiście...

z „Poznańskim Pegazem”

Pegaz proponuje

Z życia WSUS:

Znów na Akademickim szlaku	s.42
Komfort sprzyja wiedzy	s.46
Ta szkoła dała mi wiele	s.46
Planowo programowanie na sukces	s.40
Polacy w Szwecji	s.47



Rozmowy Pegaza:

Świat maleje w oczach	s.4
Dobrze służyć gospodarczo	s.5
Teatr pierwszego kontaktu	s.19
Amerikanin w Poznaniu	s.20
Bezrobocie zaczyna się w głowie	s.32



Wydarzenia:

Integracja 2004	s.12
Teatr na Malta	s.14
Eni Estonia w Poznaniu	s.45
Mecenat i geniusz	s.49
Imieniny króla	s.50
10 sekund dla Polski	s.53
Między niebem a ziemią	s.64



Wspomnienia i refleksje:

Czy się stało z Jonem B.	s.23
Zapomniana skartniczka wiedzy	s.36
W starym albumie 3 Foku	s.55
Młodość dowiedziona	s.62



Wystawy i recenzje

s. 21, 29, 31, 35, 38, 46, 47, 52, 53, 54, 58, 61

FINANSE - KOMUNIKACJA SPOŁECZNA - KULTURA

Redakcja: ul. Głogowska 26
60-734 Poznań, tel. 666 28 35
Redaktor naczelny: Tomasz Dymaczewski
Opracowanie graficzne: ORNATUS tel. 0 600 332 920
Druk i oprawa: STARDRUK, Poznań, ul. Św. Antoniego 24,
Ośrodek Badania Rynku Sztuki Współczesnej
Wydawca: Poznań, ul. Głogowska 26

ISSN 1232-3292

© © Poznań 2004, Wszelkie prawa zastrzeżone

nr indeksu 468

Inauguracja roku 2004/2005 we WSUS

Znów na akademickim szlaku

Drugiego października 2004 roku. Przed poznańskim Teatrem Wielkim, zwanym przez znanych z przywiązania do rzeczy trwałych autochtonów – Operą, w sobotnie południe robi się tłoczno. Garnitury panów i ciemne kostiumy pań, skupienie na twarzach, pełnia oczekiwania. Zgodnie z tradycją w tym imponującym i głęboko w poznańską tradycję wrośniętym gmachu jak co roku odbywa się premiera. Nie będzie jednak pola do popisu dla tenorów czy sopranów, a chór zaśpiewa tym razem nie arie z „Aidy” czy „Strasznego Dworu”, lecz „Gaude Mater Polonia” i „Gaudeamus Igitur”. Pomimo to inauguracja roku akademickiego w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych ma wymiar niepowtarzalny – jest niewątpliwą premierą. Dla studentów pierwszego roku zaś – nawet prapremierą.

W bogatych złozeniach operowego wnętrza przykuwają wzrok dekoracje sta-

nowiące wystrój sceny – romańskie kamienne łuki, masywne portale. To los niespodziewanie postanowił wtrącić swoje trzy grosze, a właściwie „postawić kropkę nad i”. Scenografia – stworzona wszak w innym celu, przeznaczona dla potrzeb wieczornego spektaklu dopełnia tym razem odbywające się właśnie na scenie odwieczne misterium wtajemniczenia – włączenia się grupy młodych ludzi w krąg akademickiej wspólnoty. Jak najbardziej na miejscu zdają się tutaj romańskie detale architektoniczne – przecież tak właśnie wyglądały siedziby pierwszych uniwersytetów. Obserwując z uwagą ten niezaplanowany, acz wymowny zbieg okoliczności, tym bardziej na miejscu znajdują majestatyczną, zbrojną w powagę togi, biretu, łańcucha i berła postać rektora WSUS, profesora doktora habilitowanego, Michała Iwaszkiewicza witającego studentów i przybyłych na uroczystość gości.

Kolejność powitania nie jest dziełem przypadku. Nowo wstępujący w mury uczelni już w wstępie dowiadują się, co ich tu czeka: oto oni będą odąd podmiotem sprawczym dla WSUS. To dla nich jest szkoła, zajęcia, wykładowcy, dla nich nowa, spełniająca wymogi rozpoczynającego się wieku, wybiegająca naprzeciw skrytym marzeniom twórców uczelni – siedziba.



Rektor z dumą i wzruszeniem mierzy wzrokiem widownię. Nie ma tu mowy o wystudiowanych pozach, o uczuciach podpartych autorytetem umiejętności społecznych. Na twarzy Jego Magnificencji dostrzegam autentyczne wzruszenie. To prawdziwe uczucia, nieklamane. Młodzi ludzie, których już po chwili będzie immatrykutować, zwiążą się ze szkołą na trzy lata, może i dłużej – jeśli podejmą studia uzupełniające magisterskie. Rektor wie o tym, a wraz z Nim wiedzą członkowie Senatu, że dla słuchaczy pierwszego roku ten dzień jest ważny, że pozostanie w ich pamięci na długo.

Słowa, które padają ze sceny odmierzają ten szczególny czas. Rektor przypomina, co się zmieniło w życiu Szkoły w ciągu minionego roku. Zmienia się zaś z roku na rok coraz więcej, przybywa kierunków, specjalności, WSUS wspina się coraz wyżej w hierarchii uczelni niepaństwowych, a realizując konsekwentnie założoną już niegdyś strategię, wiąże się coraz bliżej ze swoimi państwowymi odpowiednikami. Wspólnym akademickim szlakiem podąża WSUS wraz z Uniwersytetem imienia Adama Mickiewicza, poznańską Akademią Muzyczną imienia Ignacego Jana Paderewskiego – ta współpraca ma bogatą już tradycję i jest zarazem najbliższa – oraz z Uniwersytetem Śląskim w Katowicach. W gronie partnerów Szkoły pojawiły się nie od dziś największe w regionie biblioteki, instytuty naukowe, placówki badawcze, stowarzyszenia. Własne wydawnictwo, bliska WSUS prasa, radio, telewizja sprawiają, że wykłady i zajęcia to nie tylko głuchy majestat katedr, oderwanych od codzienności, wtłoczonych w nisze teorii. I tu pada – w duchu kulturowanej od lat szlachetnej tradycji – znamienne zdanie: „To nie Wy dla nas, to my jesteśmy dla Was”. I jeszcze jedno znamienne stwierdzenie, które słyszę nie po raz pierwszy: „Jesteście zaprogramowani na sukces. Naszym zadaniem tylko Wam pomóc, wzmocnić to ukierunkowanie, wzbogacić wiedzę, podnieść umiejętności”. Rektor Iwaszkiewicz nie rzuca tych słów na wiatr. Nowo kreowani studenci już



wkrótce będą mieli okazję się o tym przekonać, tak w Poznaniu, jak i w Wydziale Zamiejscowym WSUS w Katowicach, gdzie inauguracja roku akademickiego odbyła się podobnie jak w Poznaniu, w teatrze – konkretnie zaś w Teatrze Śląskim im. Stanisława Wyspiańskiego.

W Poznaniu wykład inauguracyjny wygłosił profesor Jerzy Bralczyk. Dane nam było ujrzeć inne oblicze wyśmienitego filologa. Nie pana ze szklonego okienka, jakiego znamy na co dzień: Telewizyjny polemista, cierpki nieraz komentator codziennej zgrzebności językowej, tym razem był w swoim żywiole: mówił o polskim języku publicznym gronu słuchaczy, które potrafi przekazywane sobie treści docenić. Przypominając polskie tradycje oratorstwa – a nie mamy się wszak czego wstydzić – mówca z pewną nostalgią odnosił je do codzienności, z jaką zmagamy się dziś. Swada, dogłębna wiedza, i co tu wiele ukrywać – także wdzięk wykładowcy porwały zebranych.

Po nagrodzeniu długotrwałymi brawami wykładu inauguracyjnego Rektor wygłosiła sakramentalną formułę otwierającą rok akademicki, chór Towarzystwa Muzycznego imienia Henryka Wieniawskiego intonuje uroczyste „Gaudeamus igitur...” i już pełnym krokiem Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych wstępuje na akademicki szlak wiedzy. Nowy rok to nowe nadzieje i oczekiwania. Oby wszystkie się spełniły. Życzymy tego senatowi, wykładowcom i studentom WSUS. Do zobaczenia za rok, na kolejnej inauguracji. Równie podniosłej i równie radosnej.

Tomasz DYMACEWSKI

foto M. Woźniak

Jak wykorzystać fakt, że świat maleje w oczach że wszędzie jest coraz bliżej, że znikają ostatnie bariery

*O kontaktach z zagranicznymi uczelniami
i o „perspektywicznym myśleniu” rozmawiamy
z Rektorem Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych,
prof. dr hab. Michałem Iwaszkiewiczem.*

Panie Rektorze, twierdzi Pan, że WSUS wyróżnia się wśród uczelni niepaństwowych w Poznaniu „perspektywicznym myśleniem o kontaktach”. Co to znaczy?

Sporo mówi się ostatnio o poszerzaniu kontaktów – przede wszystkim w kontekście wejścia Polski do Unii Europejskiej. Zjednoczona Europa to wielkie wyzwanie. Nasi studenci uczą się różnych języków – już nie trzeba nikogo przekonywać jakie to konieczne. Ale my sięgamy też do innego klucza – kontaktów z krajami i językami nie najpopularniejszymi.

Mówi Pan zapewne o Estonii.

Tak, mamy nowego partnera, właśnie Estonię. To kraj wielkich możliwości, nowoczesnych technologii i metod zarządzania. Leży blisko, ale dla wielu Polaków pozostaje krajem nieznanym. Chcemy to zmienić. Poczyniliśmy już pierwsze kroki. Szkoła wraz z Ambasadą Estonii w Polsce i Wojewodą Wielkopolskim, zorganizowała Dni Estońskie, współorganizowaliśmy stoisko estońskie na Targach Turystycznych, myśleliśmy o wymianach studenckich. MSZ Estonii zaprosiło nas do Tallina, mamy dobre kontakty z ambasadą. W Szkole uruchamiamy lektorat języka estońskiego, który będzie miał formułę otwartą – nie tylko dla naszych studentów.

Chcemy też pomagać w budowaniu kontaktów gospodarczych pomiędzy naszymi krajami, m. in. przez Wielkopolski Klub Kapitału.

Wreszcie w listopadzie zainauguruje w Poznaniu swój byt organizacja Pro Estonia, skupiająca środowisko akademickie.

Ma Pan chyba jakiś szczególny sentyment do tego kraju...

O tak, trochę rodzinny... Matka mojego ojca pochodziła z Estonii, a była to kobieta niezwykła. Udało mi się, szukając korzeni, dotrzeć do lat 70 – tych XIX wieku. To bardzo ciekawe doświadczenie. Tak, mam zdecydowany sentyment do Estonii. Ale ten kraj jest też naprawdę warty poznania.

Panie Rektorze, szkoła ma też inne kontakty zagraniczne – np. z Chinami. W babkę Chinkę już nie uwierzę...

(śmiech). Nie, nie, to zupełnie coś innego. Trochę tu kontrastu na zasadzie – Estonia, kraj jeden z najmniejszych i Chiny, największy. Młodzi Chińczycy, studenci, są bardzo zainteresowani Polską. To naprawdę kraj środka – interesuje ich cały świat. Na Uniwersytecie w Pekinie jest Wydział Filologii Polskiej, chcielibyśmy jak największą liczbę studentów stamtąd widzieć na stażach czy wymianach. Dynamika rozwoju Chin jest jedyna w swoim rodzaju.



ciągu 5 lat to państwo dokonało niewyobrażalnego skoku. Wystarczy wspomnieć o Szanghaju: prócz 16 milionów „stałych” mieszkańców, kolejne 10 milionów dojeżdża do pracy. Całkowicie zachodnie miejsce, można wręcz powiedzieć – angielskie. Budynek Komisji Opiumowej z 1906 r. z oryginalną boazerią, marmurami, jak w klubie londyńskich dżentelmenów. A z drugiej strony – np. największa fabryka Volkswagena na świecie. Niesamowite połączenie tradycji z nowoczesnością.

Szkoła ma też kontakty trochę bliżej, niemal o miedzę...

Tak, z Uniwersytetem w Monachium. Chcemy zorganizować Instytut Czasu Wol-

nego, oparty na doświadczeniach niemieckich. Czekają nas sporo prace w tym roku.

Ale nie wyobrażam sobie, aby nasi studenci, zresztą nie tylko oni, nie mogli korzystać z możliwości, jakie daje nam dzisiejszy świat. Tym bardziej, że te kontakty, jestem pewien, będą owocować w przyszłości. I to jest właśnie to perspektywiczne myślenie o którym mówiliśmy na początku.

Dziękuję za rozmowę.

Paulina BRENCZ

Rozmowa dostępna również na stronie
www.youareinpoznan.pl (Internetowy biuletyn
 dla obcokrajowców przebywających w Poznaniu)
 fot. archiwum

Komfort sprzyja wiedzy

**„Pegaz” rozmawia
z dyrektorem Jackiem Wodą**

Panie Dyrektorze, Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych po raz kolejny zmieniła swoją siedzibę. Nowy adres to ulica Głogowska 26. Czy tylko adres jest nowy?

Cieszę się, że tym razem to nie tylko nowy adres, ale całkiem nowa koncepcja lokalizacji, a przede wszystkim funkcjonowania Szkoły w warunkach, które można bez przesady określić jako komfortowe. W aktualnej siedzibie rozwiązaliśmy wszystkie dotychczas występujące problemy i znów nie popadnę w przesadę jeśli powiem, że nowy rok akademicki 2004/2005 rozpoczęliśmy wreszcie na miarę XXI wieku.

Zatem co się zmieniło?

O tym mówić można, a nawet trzeba długo. Przede wszystkim po raz pierwszy wszyscy: władze, wykładowcy i studenci znaleźli się pod wspólnym dachem. Tutaj wszędzie jest blisko, wystarczy przejść po poszczególnych kondygnacjach, aby ogarnąć całe życie szkolne. Blisko jest także do dworca PKP, który znajduje się niemal naprzeciwko nowego budynku, a i do dworca PKS mamy nieomal przysłowiowy rzut beretem.

Wracając do budynku: całość jest przeszklona, bryła zwarta a sam projekt wydaje się funkcjonalny...

Bo tak jest w istocie. Dysponujemy powierzchnią użytkową 3,5 tys. m², wyposażoną we wszelkie możliwe udogodnienia. Budynek jest klimatyzowany, wyposażony w kompletną instalację centralnego ogrzewania, sieć telefoniczną, oprzyrządowanie RTV i jest – co chyba oczywiste – całkowicie skomputeryzowany.



Ma Pan na myśli stanowiska komputerowe w poszczególnych salach i pracowniach?

Otóż nie tylko. Sala komputerowa na blisko 40 stanowisk nie jest w naszej Szkole niczym nowym. Podobna funkcjonowała już w poprzedniej siedzibie WSUS, przy ulicy Strzałkowskiego. Nowością jest to, iż sieć bezprzewodowa obejmuje cały budynek, a to oznacza, że można się podłączyć z każdego miejsca na korytarzu i skorzystać z Internetu, bądź – za pośrednictwem szkolnego serwera – z naszych baz danych.

To bardzo ważne i chyba niespotykane udogodnienie?

W ten sposób patrzeć nie możemy. Nie powinniśmy postrzegać takich możliwości wyłącznie przez pryzmat udogodnień. Ewentualność przyłączenia się do sieci komputerowej poza salą dydaktyczną powinna być standardem wpływającym z szacunku dla studenta, dla jego pracy i nauki. Podobnie ma się rzecz z nieograniczonym dostępem do Internetu w szkolnej bibliotece. Jest dla nas sprawą oczywistą, że opłacając czesne, student spodziewa się w zamian nie tylko dostępu do wiedzy, ale i udogodnień w jej przyswajaniu. W tych samych kategoriach patrzeć powinniśmy na sieć sanitariatów i na windy, dostosowane do przewozu osób niepełnosprawnych. Aby zamknąć tę myśl – intensywne pozyskiwanie wiedzy nie może i nie powinno być sztu-

ką samą w sobie. Z kolei zajęcia z wykorzystaniem technik multimedialnych i cyfrowych nośników informacji – co w naszej szkole jest normą nie od dziś – to tylko jeden z elementów wspólnej pracy wykładowców i studentów. Innymi słowy – nie byłoby rzeczą właściwą ograniczać się do zamykania z nowoczesnością w obrębie sali dydaktycznej, na zewnątrz pozostawiając zgrzebną rzeczywistość. Wiąż z naszymi studentami to także zapewnienie im wszelkich możliwych udogodnień i usprawnień, jakie są w tej chwili osiągalne.

Czy w nowej lokalizacji udało się zachować istotny dla życia studenckiego bufet i kącik dla palaczy?

W nowym budynku istnieje i jedno, i drugie. W siedzibie, do której przeprowadziliśmy się, bufet z większym niż poprzednio zapleczem, jest też znacznie lepiej wyposażony i zintegrowany z życiem szkoły. Można tam nie tylko smacznie i tanio zjeść, ale zakupić szkolne wydawnictwa, a nawet okolicznościowe kartki z humorystycznymi dedykacjami. To miejsce, w którym skupić się ma w naszym zamyśle – jak w soczewce – życie całej szkoły. Przytulne, choć ciasne pomieszczenie z ulicy Strzałkowskiego pozostanie wspomnieniem z dawnych czasów...

Kolejnym miejscem, w którym gromadzą się studenci jest kącik dla palaczy?

Trudno takie miejsce nazywać kącikiem. Jest to prawdziwy ogródek, który pomimo urzędowej nazwy „palarnia” jest w istocie rodzajem zadaszonego patio na zapleczu budynku szkoły. Stoliki i ławki służą temu, aby studenci i wykładowcy mogli nie tylko nerwowo zaciągać się papierosem w przerwach pomiędzy zajęciami, lecz przede wszystkim dla relaksu i wymiany poglądów. Z tego, co wiem, zarówno bufet, jak i palarnia zostały zaakceptowane.

Jak przedstawia się kwestia bezpieczeństwa użytkowników budynku?

O tym, że szkoła jest strzeżona i to strzeżona dobrze, najłatwiej przekonać się lekko-myślnemu palaczowi, który zapomni na chwilę o obowiązujących w budynku ograniczeniach. Jakikolwiek bowiem poziom stężenia dymu ponad obowiązującą normę natychmiast powoduje interwencję służb zabezpieczenia Międzynarodowych Targów Poznańskich. Brama wejściowa jest również dobrze strzeżona i upoważnia to do stwierdzenia, że WSUS jest szkołą bezpieczną,

a także czystą – dosłownie i w przenośni. Studiujący tu dobrze wiedzą, że inwestowanie we własną przyszłość nie może iść w parze z tzw. „życiem na luzie”. Młodzież ma dobry kontakt z władzami Szkoły, ze swoim samorządem, a nasza uczelnia aktywnie uczestniczy w życiu kulturalnym i akademickim Poznania. Jest w czym wybierać.

Skoło mówimy o sferze kultury, proszę powiedzieć, czy WSUS zamierza podtrzymywać tradycję organizowania wystaw i koncertów na terenie Szkoły?

Nie mamy zamiaru rezygnować z dobrych tradycji, tym bardziej, że wiele do tej pory organizowanych wystaw prezentowało dorobek naszych studentów i absolwentów. W nowej siedzibie do naszej dyspozycji pozostaje między innymi przestronny hol, w którym aż wypada zorganizować wystawę lub koncert. I w rzeczy samej – wystawy i koncerty to tylko kwestia czasu – i to nieodległego. Zakończyły się już rozmowy z Akademią Sztuk Pięknych w Poznaniu i lada dzień uruchomimy w naszych murach pierwszą ekspozycję, która – jestem pewien – zainauguruje cały sezon wystawowy.

Nowoczesny budynek, niekonwencjonalne sposoby nauczania, możliwość dostępu do bibliotek: zarówno macierzystej uczelni, jak i większości liczących się placówek w Poznaniu, wszystko to sprzyja przyswajaniu wiedzy przez studentów WSUS. Co jeszcze nowego ma Szkoła w zanadrzu w nowym roku akademickim?

Zapadła decyzja o wydawaniu przez studentów gazety, która będzie się opierała o nową, do niedawna całkiem u nas nieznaną, metodę konwergencji. Tę inicjatywę, wspólnie ze studentami, podejmie dr Wiesław Kot, znany między innymi z publikacji w tygodnikach „Wprost” i „Newsweek Polska”. Sądzę, że osoba takiego opiekuna gwarantuje inicjatywie pełne powodzenie.

Zgadzam się z Panem, przedsięwzięcie firmowane tak znakomitą nazwiskiem rokuje bezsprzecznie powodzenie. Życząc tego, jak również pełni satysfakcji z roku akademickiego w nowej siedzibie, dziękuję Panu Dyrektorowi za rozmowę.

Rozmawiał: Tomasz DYMACEWSKI

fol. M. Woźniak

Dobrze służymy gospodarce

**Rozmowa z Józefem Bejnarowiczem, kanclerzem
Łoży Wielkopolskiej Business Centre Club**

Czym zajmuje się Business Centre Club?

To organizacja, która ma wspierać i wspiera przedsiębiorców. Nie tylko w sprawach codziennych, związanych z działalnością gospodarczą, produkcją czy handlem, ale również w tym co potrzebne jest by mogli normalnie funkcjonować. W kontaktach, w rozwiązywaniu problemów skarbowych czy legislacyjnych, a nawet prasowych. Bo łatwiej największej w tej chwili organizacji pracodawców umocowanej w prawie jako członek Komisji Trójstronnej oddziaływać na te wszystkie czynniki. Myślę, że nam się to udaje. Nie tylko przez ilość członków, a tylko Łoża Wielkopolska skupia 122 firmy i jest największą w Polsce jeśli nie weźmiemy pod uwagę Warszawy. Tamtejsza

łóża skupia 300 firm. Kolejne łóże zrzeszają około 80 członków. Dla nas najistotniejsze jest to, że przedsiębiorstwa nas potrzebują i chcą do nas należeć.

Na ile udaje Wam się wpływać na kształt prawa dla przedsiębiorców?

Tutaj zdania są podzielone, ale jeśli mamy możliwość w jakikolwiek sposób dokonania oceny czy przekazania swoich wniosków i propozycji do aktualnych projektów przesyłanych nam przez komisje sejmowe czy ministerstwa, to się do nich w krótkim czasie ustosunkowujemy. Robimy to zarówno poprzez nasze komisje czy biuro kontaktów z instytucjami. Każdy projekt analizujemy, konsultujemy z przedsiębiorcami i przedstawiamy swoje propozycje czy też kontrpropozycje.



W tworzeniu jakich aktów prawnych mieliście ostatnio udział?

Tylko w sierpniu zgłosiliśmy swoje uwagi do projektu ustawy o partnerstwie publiczno-prywatnym i przepisami wprowadzającymi partnerstwo publiczno-prywatne. Natomiast Instytut Lobbingu otrzymał w sierpniu do konsultacji m.in. projekt ustawy o informacji i konsultacji z pracownikami, projekt rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie prowadzenia rejestracji bezrobotnych i poszukujących pracy, projekt krajowego planu działań na rzecz zatrudnienia na rok 2005 czy projekt rozporządzenia Rady Ministrów w sprawie szczegółowego trybu przyznawania zasiłku, dodatku szkoleniowego, stypendium i dodatku aktywizacyjnego. Organizujemy warsztaty dla menedżerów, które dotyczą indywidualnego kierowania zespołem W tej chwili walczymy z problemem podniesienia składek zusowskich. Wymieniać mógłbym długo.

Kto może być członkiem BCC ?

Członkiem BCC może być każdy przedsiębiorca prywatny. Wszyscy są jednakowi. Nie ma rozgraniczenia na mniejszych czy większych. Przyjęcie każdego członka polega na tym, że mamy coś takiego jak deklarator nominacji. Dokonuje on analizy firmy i proponuje przystąpienie do klubu. To człowiek działający z upoważnienia centrali warszawskiej. W momencie gdy firma się decyduje wnioski przychodzą do mnie. Sprawdzam je. Zasięgam informacji o firmie i osobach, które mają ją reprezentować. Jeśli te osoby nie budzą zastrzeżeń i mamy informacje, że jest to firma solidna to wniosek akceptuję, rekomenduję i przesyłam do Zarządu BCC, który firmę przyjmuje w poczet członków lub nie. W większości nie ma z tym problemu, bo w regionie najważniejszą osobą w BCC jest kanclerz. Odpowiadam za całokształt działalności i jest to działalność społeczna.

Wiele dziś mówi się o związkach biznesu z kulturą. Była o tym mowa m.in. na zorganizowanej przez Wyższą Szkołę Umiejętności Społecznych i Muzeum Narodowe Rolnictwa w Szreniawie konferencji „Mecenat prywatny – szansa czy konieczność?” Odyła się ona w Muzeum Łowiectwa w Uzarzewie ?

BCC jako organizacja przekazała ponad 800 milionów na różne formy pomocy wspierania czy Programu Wrażliwości Społecznej. Chcemy pomagać i organizujemy różne

akcje w całej Polsce. Jeśli chodzi o Wielkopolskę rozpoczęliśmy przekazywanie paczek rodzinom najbardziej potrzebującym W ubiegłym roku było ich 350. Jeździmy z tymi paczkami. Korzystamy z pomocy służb wojewódzkich. Towarzyszył nam wicewojewoda Waldemar Witkowski. Oczywiście, że pośredniczymy w różnych akcjach charytatywnych. Gdy ktoś zwraca się do nas ze swoim problemem, propagujemy go wśród naszych przedsiębiorców. Oczywiście różne są priorytety w całej organizacji. Każdy z naszych członków gdzieś funkcjonuje, w Lions Club czy w Rotary Club. Te organizacje już same przez siebie stworzone są po to by wspierać. Natomiast my koncentrujemy się na większych akcjach związanych z konkretnym wydarzeniem. Zorganizowaliśmy imprezę „Wielkopolsko, witaj w Europie”, gdzie umożliwiliśmy propagowanie różnych idei proeuropejskich. Myślę, że każda jedna akcja, która wynika czy to z potrzeby serca czy aktualnej sytuacji, u nas spotyka się z dużym zainteresowaniem i pomocą. Nasi przedsiębiorcy wspierają też akcje pomocy Ukrainie i Rumunii. Natomiast dziennikarzy nagradzamy co roku nagrodą „Ostrego pióra”.

Wśród laureatów tegorocznej edycji znalazło się aż trzech publicystów związanych z Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych...

To prawda i jest mi szczególnie miło. Uważamy, że dziennikarze, którzy z nami współpracują niekoniecznie muszą być to dziennikarze gospodarczy. Chodzi o to, że dziennikarze, którzy propagują pewne zasady i pokazują je na zewnątrz, powinni być też nagradzani. Chcemy pokazać, że jesteśmy z nimi. Chcemy, aby pisali niekoniecznie tylko o podatkach i finansach, ale i o całej otocze biznesu, bo i to jest bardzo interesujące. Z tego względu ustanowiono nagrodę „Ostrego pióra”. Te pióra są nie zawsze ostre, ale cieszymy się, gdy dziennikarze piszą o wszystkim, co się dzieje w otoczeniu firm i akcjach artystycznych czy humanitarnych, które wspieramy, bo to przecież też elementy naszej działalności. Podkreślając tę dobrą współpracę i nagradzając dziennikarzy możemy być pewni, że ta współpraca będzie się dobrze rozwijała.

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK

Szkoła dobrych manier prof. dr. hab. Michała Iwaszkiewicza



Sukces ma dwa oblicza

**Czy należy chwalić swoim sukcesem?
Przecież to może przysporzyć nam
nowych wrogów.**

Jeżeli sukces jest czymś obiektywnym, odnosimy go w pracy zawodowej, odnosimy sukces osobisty budując sobie dom, poprawiając sytuację materialną, odnosimy sukces towarzyski będąc gwiazdą wieczoru to są pewne stany naturalne. Każdy z nas do nich dąży. Każdy chciałby być człowiekiem sukcesu i to jest coś normalnego. Ale wśród nas jest bardzo wielu ludzi zawistnych, którym sukces jeszcze nigdy nie zdarzył się, którzy go nigdy nie posmakowali.

Co w takim razie zrobić?

W tej sytuacji jest rzeczywiście bardzo trudno zachować właściwe proporcje, bo z jednej strony to, że odnieśliśmy sukces, jest to rzecz obiektywna. Wszyscy ludzie życzyliwi nam sukces odnotowali, odpowiednio nas traktują natomiast jest oczywiście grupa ludzi, którzy byli pozbawieni sukcesu bądź ciągle na swój sukces czekają i nie potrafią pogodzić się z faktem, że my ten sukces odnieśliśmy.

Jak trzeba wobec tego postępować?

Bardzo rozważnie, żeby nie prowokować tego kręgu. Bo, jeżeli za bardzo będziemy eksponować sukces, im bardziej będziemy zadzierali do góry nosa, tym bardziej będzie rosła liczba naszych przeciwników. Traktujmy sukces jako coś normalnego, jako element naszego rozwoju. Coś, co nas ucieszyło, ale i zmobilizowało do lepszej pracy. W tym momencie to grono zawistnych ludzi powinno się systematycznie zmniejszać. Niestety sukces ma zawsze dwa oblicza.

Skoro sukcesami powinniśmy się chwalić to czy podobnie jest z poglądami? Czy powinniśmy je ujawniać?

Kiedy mówimy o tak zwanym człowieku z otwartą przyłbicą mamy na myśli osobę, która zawsze w sposób jednakowy prezentuje swoje racje. Znana jest ze stałości poglądów i uczciwości w tym, co mówi i można wierzyć w to, co mówi. To jest ideał. Takich ludzi jest oczywiście bardzo wielu. Ale często bywa tak, że w określonym gronie spotykają się ludzie, którzy nawzajem się nie znają i w ramach dyskusji prowadzonych na różnych poziomach pojawiają się poglądy bardzo kontrowersyjne, czasami wręcz wykluczające się. Jesteśmy świadkami takiej wymiany zdań bardzo często korci nas, aby również zabrać głos. I odpowiedź na pytanie, czy zawsze należy ujawnić swoje poglądy, jest uzależniona od stopnia zaangażowania w dyskusję, w której bierzemy udział. To kwestia odkrycia się ze swoimi poglądami. Jeżeli jesteśmy w gronie znajomych, przyjaciół, którzy i tak znają nasze poglądy to ich kamuflowanie, udawanie, że ich nie mamy jest oczywiście nieporozumieniem.

A występowanie w zupełnie nieznanym gronie z pełną otwartością?

Tu ujawnianie swoich poglądów może wiązać się z negatywnymi konsekwencjami. Nasze społeczeństwo często bardzo różnie reaguje na manifestacyjne deklarowanie niepopularnych poglądów. Wymaga to wtedy odwagi i przekonania, że bez względu na konsekwencje będą te poglądy głosił.

Czy zatem warto być ostrożnym?

W zależności od sytuacji trzeba dokonywać wyboru, czy lepiej milczeć, czy też ujawnić swoje poglądy. Natomiast zupełnie nie dopuszczalny jest sytuacjonizm, czyli zmienianie swoich poglądów w zależności z kim przebywamy i do kogo mówimy.

Zgoda, z poglądami ostrożnie, a z własnym stylem? Szczególnie, gdy nadchodzi lato? Latem ubieramy się nieco lepiej niż w pozostałych porach roku. Jak powinniśmy się ubierać, aby wyglądać elegancko i kogoś nie urazić?

Każdy z nas powinien mieć swój indywidualny styl i swój wzorzec poprawności. Mechaniczne naśladowanie innych jest zdecydowanie de mode i świadczy o niskiej kulturze. Okres wakacyjny sprzyja pewnemu rozluźnieniu stroju zarówno u pań jak i u panów. Wiele o tym napisano, w jakich strojach panie mogą przychodzić do pracy, a w jakich nie.

Ala chyba często zapomina się o nas, mężczyznach

Zacznijmy od lata w pracy. Łączy się ono z poprawnością stylu wobec klienta i personelu. Typowo luzacki styl ubierania się latem jest w większości poważnych firm niedopuszczalny.

Czy zawsze w marynarce?

Zawsze. Oczywiście są marynarki lekkie, sportowe. Można przy ogromnym upale powiesić marynarkę na wieszaku, ale gdy wchodzi poważny klient trzeba natychmiast ją założyć. Nic nas nie usprawiedliwia. Marynarka jest obowiązkowa oczywiście na tych szczeblach, gdzie chcemy okazywać szacunek samemu sobie.

Czy obowiązuje krawat?

Niekoniecznie. Ponieważ dopuszcza się koszule z krótkim rękawem, to również dopuszcza się rozpięte kołnierzyki. Ale koszula musi być świeża i stonowana z resztą naszego stroju. Oczywiście w niektórych zawodach nawet w wielkie upały krawaty są obowiązkowe. Proszę sobie wyobrazić maklera, doradcę finansowego lub dobrego prawnika bez krawata. To są rzeczy niedopuszczalne. Bez krawata, ale w fartuchu może być lekarz. Zatem miejsce pracy i pozycja określa te zasady.

Czy możemy chodzić w sandałach?

W poważnej firmie sandały są niedopuszczalne. Natomiast dopuszczalne są różne buty z wywietrznikami. Sandał to obuwie typowo wakacyjne i do pracy w nim chodzić nie wolno. Oczywiście w pracy obowiązkowe są skarpetki.

A my na wakacjach?

Często pytają mnie, czy godzi się wakacyjna zmiana wizerunku. Możemy to zrobić. Znam osoby, które na wakacje farbują sobie włosy na blond, choć normalnie

noszą ciemną czuprynę. To jest dopuszczalne. W ten sposób odreagowujemy.

„Trendy” i „passe”

Skoro odreagowujemy to pewnie jesteśmy „trendy”, modni. Czy powinniśmy używać tego określenia?

„Trendy” albo „passe”, bo tak w tej chwili przeciwstawia się te pojęcia.

To już nie „cool”?

No właśnie. To jest bardzo interesujące, że pojawiają się nowe terminy określające proste i znane rzeczy. Pojawiają się z powodów czysto snobistycznych i związanych z obcymi modami. Przecież „trendy” oznacza to, co kiedyś oznaczało „na topie”, albo modne. Sformułowanie to jest wysoce denerwujące.

Dlaczego? Przecież w gwarze poznańskiej pojawia się wyrażenie „tyndrynd”.

W określony sposób odstępuje od normalności na rzecz udziwnionej mody. Mody snobistycznej, bo nawet w prezentacji telewizyjnej pokazywano najbardziej ekskluzywne miejsca, najbardziej ekskluzywnych bohaterów czy bohaterki. Miało to stworzyć wrażenie, że trendy wiąże się właśnie z nimi. A to nieprawda.

Kto jest trendy?

Wcale najlepsi i najbogatsi nie są trendy. Są po prostu najlepsi i najbogatsi. Używanie tego typu jest określeń jest obrażające. Można mówić, że coś jest aktualnie modne, eleganckie, że coś wypada, ale używanie słowa trendy jest nadużyciem

Coraz częściej pojawia się też słowo passe...

W języku mody, ale także polityki i obyczajów od XIX wieku funkcjonuje pojęcie de mode i używanie do tego „passe” czyli przeszłe jest nadużyciem i udziwnieniem. Mam nadzieję, że te udziwnienia się w Poznaniu nie przyjmą.

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK

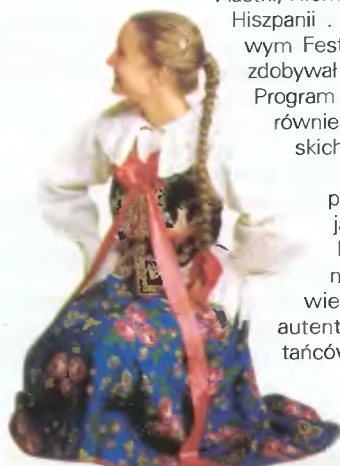
Jeśli mają Państwo sugestie do „Szkoly dobrych manier” prosimy kierować je na adres: zaradniak@poczta.gp.pl

INTEGRACJE 2004

I na sportowo i... ...na ludowo

W niedzielę, 15 sierpnia, wieczornym koncertem finałowym „Muzyka w folklorze świata” na Dziedzińcu Sztuki Starego Browaru zakończył się w Poznaniu IV Światowy Przegląd Folkloru „Integracje 2004”. W trakcie finału uczestniczące w Przeglądzie grupy zaprezentowały najbardziej interesujące fragmenty swych wcześniejszych występów. Niektóre utwory wykonywano wspólnie.

Tegoż dnia w godzinach rannych tance i śpiewacy ludowi z sześciu krajów uczestniczyli w Mszy Eklezjastycznej w kościele pod wezwaniem Wszystkich Świętych. To już tradycja. I obecnie nie dziwi już, że można modlić



się ze śpiewem i tańcami, co podczas pierwszej edycji Przeglądu dla wielu było zaskoczeniem.

W roku bieżącym „Integracje” miały miejsce już po raz czwarty. Koncert inauguracyjny odbył się 10 sierpnia w Parku Wilsona, przez następne dwa dni uczestnicy Przeglądu gościli z koncertami w Lesznie, Grodzisku Wielkopolskim i Wągrowcu, natomiast 13 sierpnia odbył się Koncert o Nagrodę Publiczności w Koninie.

W trakcie trwania festiwalu zorganizowano także cztery parady na ulicach miast partnerskich oraz dwa przemarsze ulicami Poznania.

Gospodarzem imprezy, która stopniowo przebija się wśród innych imprez kulturalnych stolicy Wielkopolski jest poznańska AWF, a konkretnie istniejący od 1982 roku Zespół Tańca Ludowego „Poznań” AWF, który już wielokrotnie prezentował swój program artystyczny publiczności zarówno polskiej jak i zagranicznej. Zespół koncertował kilkakrotnie w Holandii, Francji, Belgii i Turcji, gdzie zdobył wyróżnienia na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym. Przebywał także w Czechach, Austrii, Niemczech, na Węgrzech i w Hiszpanii. Tam na Międzynarodowym Festiwalu Folklorystycznym zdobywał drugie i trzecie miejsca.

Program Zespołu znany jest już również na Wyspach Kanaryjskich, w Finlandii i w Egipcie.

Celem grupy jest podtrzymywanie zanikającego folkloru i tradycji ludowych różnych regionów Polski, z możliwie wiernym odtworzeniem autentycznych narodowych tańców ludowych, przyśpie-



wek i muzyki ludowej, a także strojów, instrumentów, gwary i brzmienia kapel w poszczególnych regionach naszego kraju. Zespołowi towarzyszy kapela złożona z sześciu muzyków, dwoje skrzypiec, klarnet, trąbka, kontrabas i akordeon. Program prezentowany przez poznańskich śpiewaków i tancerzy składa się z 14 punktów (Wielkopolska, Krakowiak, Lublin, Rzeszów, Przeworsk, Kujawiak z Oberkiem, Łowicz, Polonez, Mazur, Wielkanoc w Beskidach – obrzędy związane ze świętami Wielkiej Nocy, Idzie baba groniem... – przyspiewki i tańce górali śląskich, Tańce i przyspiewki z Nowego Sącza, Tańce i przyspiewki Górali Pieniężskich oraz Tańce i przyspiewki Górali Spiskich). Kierownikiem i Choreografem Zespołu od momentu powstania do chwili obecnej jest Dariusz Majchrowicz, zaś członkami studenci AWF i innych uczelni Poznania, a także ucząca się i pracująca młodzież.

W trakcie Światowego Przeglądu Folkloru zespoły ludowe z różnych części świata oferują wielkopolskiej publiczności

szereg koncertów w plenerze w różnych miejscach Poznania i regionu, co ma przyczynić się do przybliżenia Wielkopolanom i umożliwienia mieszkańcom zapoznania się z tradycjami i kulturą różnych regionów świata. Z kolei goście mają okazję zapoznać się z folklorem naszego kraju, a integracji uczestników sprzyjają szczególnie, dostępne wyłącznie dla nich, wieczory poszczególnych parństw.

Każdorazowo zapraszanych jest pięć zespołów zagranicznych, przy czym z założenia zawsze są to zespoły z państw innych niż goszczące już u nas poprzednio. W roku bieżącym były to zespoły z Chorwacji, Bułgarii, Ukrainy, Grecji oraz wyjątkowo po raz drugi z rzędu grupa z Serbii i Czarnogóry, która w ostatniej chwili zastąpiła awizowaną grupę z Indii (Hindusi nie otrzymali polskich wiz).

Kolejny V Światowy Przegląd Folkloru za rok – tradycyjnie w pierwszej połowie sierpnia.

(km)

fot. archiwum ZTL AWF

Teatralna Malta

Czerwony, zabytkowy pojazd strażacki pędzący po ulicach miasta nie po to, aby gasić pożary, ale aby rozsyłać radość i śmiech.

Postaci z szekspirowskiego „Snu nocy letniej” występujący razem z bohaterami japońskiej kreskówki „Tokebi”.

Czy wreszcie niezwykła historia miłości nosorożca Tin Tina i szympanscy Cheri.

T o tylko niektóre głośno reklamowane atrakcje, które miały w tym roku zachęcić widzów do udziału w Festiwalu Teatralnym MALTA 2004. Miały, bo tegoroczna Malta nie cieszyła się już takim powodzeniem i nie wzbudziła takiego entuzjazmu jak poprzednie.

To był już czternasty festiwal. 5 dni, 75 zespołów, ponad 80 spektakli. Trudno wszystko ogarnąć, nie ma szans, by wszystko obejrzeć. Czy można więc w takiej sytuacji pokusić się o jakieś podsumowanie? Myślę, że warto.

Tym bardziej, że tegoroczna MALTA wzbudzała spore kontrowersje. Nie tylko natury artystycznej – ale zaczniemy od nich.

Malta OFF

To szansa dla młodych artystów na pokazanie się i na zaistnienie w przyszłym roku w głównym programie. Tymczasem tegoroczny OFF rozczarował. Najbardziej wyraziste wspomnienie z offowych spektakli jeszcze teraz przyprawia mnie o dreszcze – dziwni klauni, którzy wygaszają czy wykrzykują z siebie tylko znanych powodów „złote myśli”, albo kopią się w różne miejsca.... Na tym tle faktycznie wyróżniał się laureat tegorocznego Offeusza – szczeciński TLEN.



W programie głównym z kolei tego właśnie tlenu brakowało. A właściwie powiewów świeżości, teatralnego zaskoczenia, innowacji. Nie było takich emocji, jakie 2 lata temu zafundował nam np. zespół Les



szaleństwu. Teraz, może zabrzmi to brutalnie, chyba za bardzo nam to już spowszedniało.

Jest jeszcze jedno - sporo miejsca w dyskusjach o tegorocznej Malcie zajęła jej komercjalizacja, zbyt wysokie ceny biletów. Przyzwyczailiśmy się do „dostępności” Malty. Do tego, że spektakle mogą obejrzeć wszyscy, a nie tylko ci, którzy mają 20 złotych na bilet. Niby tyle samo kosztuje bilet do kina, ale....

14 festiwalu temu teatr wyszedł na ulice, mówiąc kolokwialnie – trafił pod strzechy. Po tegorocznej Malcie mam wrażenie, że teraz powoli wraca na bardziej „elitarną” pozycję.

Paulina BRENCZ

Arts Sauts rozbijając nad Maltą swój ogromny namiot i zmuszając widza do obejrzenia spektaklu w pozycji horyzontalnej.

Czternaście festiwalu – to sporo. MALTA powstała w momencie, gdy dla większości poznaniaków teatr uliczny, offowy, który zszedł z zakurzonych desek teatralnych scen, był całkowitą nowością. To było wielkie święto teatru. Jego obecność czuło się w każdym zakątku miasta. Nie tylko zagorzali fani aktorstwa spędzali na ulicach długie godziny dając się ponieść



Ta szkoła dała mi wiele

Rozmowa z Katarzyną Budzik, absolwentką Wyższej Szkoły Umiejętności Społecznych, laureatką konkursu Galerii Plakatu AMS

Na zorganizowanym przez Galerię Plakatu AMS konkursie zdobyła pani wyróżnienie. Może pani przybliżyć ten konkurs.

Była to pierwsza edycja konkursu zorganizowanego przez zajmującą się reklamą zewnętrzną firmę AMS. Miała na celu rozpropagowanie ośmiu głównych regionów Polski, Poznania, Warszawy, Gdańska, Łodzi, Śląska, Krakowa, Trójmiasta i Szczecina.

Kto namówił panią do udziału?

Mój narzeczony, ale informację o konkursie znalazłam w profesjonalnym piśmie grafiki komputerowej, kwartalniku „2 plus 3 D”. Była ona też rozesłana na Akademii Sztuk Pięknych.

Pani praca nosi tytuł „Do rozpoznania jeden krok”. Była kiedyś taka piosenka „Do zakochania jeden krok”...

Moja praca to zabawa słowami. Kalambur słowny. Plakat przedstawia kobietę, na której ciele są różne elementy związane z Poznaniem.



Była pani jedyną artystką nieprofesjonalną wśród laureatów. Jak się pani czuła?

To okropnie miłe. Gdy byliśmy na rozdaniu nagród w warszawskiej „Królikarni” poinformowano, że na konkurs nadesłano ponad 100 plakatów. Większość z Akademii Sztuk Pięknych. Były dobrze zrobione pod względem graficznym. Zawierały ciekawe pomysły. Wśród nagrodzonych byli już ludzie ze

sporym dorobkiem, pracujący przy wielkich kampaniach reklamowych dla znanych firm.

Ale w pani przypadku to też nie była pierwsza nagroda?

Wcześniej, gdy chodziłam do klasy informatycznej w VIII Liceum Ogólnokształcącym w Poznaniu wygrałam konkurs grafiki komputerowej dla młodzieży szkolnej do lat 20. Był to dla mnie sukces, który mnie napędził. Tamten konkurs był trudniejszy. Miał kilka etapów. Trzeba było przygotować prace w domu. Potem były eliminacje, drugi etap i wreszcie trzydniowy trzeci etap w Bydgoszczy. Tam trzeba się było „na żywo” zmagać z zaproponowanym hasłem

Jak długo powstawała praca „Do rozpoznania jeden krok”?

Krótko. W ciągu jednego popołudnia. Wcześniej miałam mnóstwo pomysłów dotyczących hasła.

Ukończyła pani dziennikarstwo i komunikację społeczną na Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych.

Zajmuję się także rękodziełem. Maluję szkło, drewno i sukcesywnie sprzedaję. Wymyślam coraz to nowe wzory i hasła przyciągające oko.

W przyszłości zamierza pani być dziennikarką czy zająć się komunikacją społeczną?

Wszystko można połączyć. Studiując na WSUS dowiedziałam się też jak oddziaływać na ludzi poprzez komunikację wizualną. Wszystko się przydaje zarówno w komunikacji społecznej, w dziennikarstwie, w reklamie i w public relations. Przyszłam do tej szkoły z nadzieją na osobisty rozwój i dużo mi ona dała. Szczególnie przedmioty humanistyczne, które przydałyby się każdemu obojętnie czy studiując na Politechnice czy na Akademii Ekonomicznej.

Rozmawiał: Marek ZARADNIAK

Fot. P. Jasczek

Sportowy finisz

Rok akademicki w Wyższej Szkole Umiejętności Społecznych upływa nie tylko pod znakiem nauki, ale również rywalizacji sportowej.

Najpierw odbył się Wielki Mecz Siatkówki o Puchar Rektora WSUS. Na parkiecie tradycyjnie już drużyna złożona z wykładowców i pracowników uczelni rywalizowała z reprezentacją studentów. I tym razem lepszą okazała się ekipa wykładowców i pracowników, której kapitanem był Robert Matuszewski. Triumfatorzy na sukces musieli się jednak solidnie napracować wygrywając 3:2.

W ramach Tygodnia Sportu rozgrywki przygotowane przez studentów WSUS obejmowały rywalizację między innymi w darcie, siatkówce, strzelaniu z broni pneumatycznej, koszykówce, rzucie kaloszem. Najbardziej usportowionym wydziałem okazał się II rok Zarządzania i Marketingu.

W mistrzostwach Szkoły w futsalu tytuł przypadł drużynie II roku Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Drugie miejsce zdobył zespół II roku DziKS studentów zaocznych, a trzecią lokatę – III rok Zarządzania i Marketingu. (km)

Nagrody

Nasze „Ostre pióra”

Aż trzech publicystów związanych z Wyższą Szkołą Umiejętności Społecznych znalazło się w ekskluzywnym gronie tegorocznych laureatów nagrody „Ostre pióro”. Przyznaje ją Business Centre Club za propagowanie zasady przedsiębiorczości, wspieranie idei wolnego rynku i szerzenie edukacji ekonomicznej. W Warszawskim Pałacu Lubomirskich wyróżnienie to odebrali, autor wydanej przez Ośrodek Badania Rynku Sztuki Współczesnej książki „Reportaż po polsku” Maciej Siembieda, długoletni redaktor naczelny Oddziału TVP S.A. w Poznaniu Jarosław Hasiński i publicysta Gazety Poznańskiej Marek Zaradniak. Gratulujemy

RED

Teatr pierwszego kontaktu

„Pegaz” rozmawia z Tomaszem Szymańskim, dyrektorem Teatru im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie

Poprzednia wizyta „Pegaza” w Gnieźnie doszła do skutku w roku 1999. Minęło kilka lat i pytanie o zaszłe w międzyczasie zmiany jest chyba oczywiste...

Istotnie, chociaż teatr nie jest tworem, który przekształca się niczym kameleon. Wręcz przeciwnie, jak najbardziej wskazana jest kontynuacja. Dla sceny w Gnieźnie oznacza to utrzymanie zasadniczej linii programowej przy jednoczesnym poszukiwaniu nowego spojrzenia na to, co w sztuce dramatycznej wydaje się stałe i niezmiennie.

Sprzyja temu zapewne stabilność zespołu z dyrektorem na czele?

Rzeczywiście, w okresie owych kilku lat, jakie upłynęły od poprzedniej bytności tutaj „Pegaza”, nie tak wiele się zmieniło. Trzon zespołu pozostał ten sam, choć przybyło parę nietuzinkowych postaci, które potrafią tworzyć interesujące, głębokie kreacje aktorskie.

A obok tego dyrektor – rekordzista...

Może to się wydawać dziwne, lecz kierując takim teatrem jak gnieźnieński, nie liczy się czasu w zwykłych kategoriach. Z jednej strony mam oczywiście świadomość jego upływu, mijających lat, coraz to nowych sezonów. Z drugiej jednak strony fakt, że niegdyśjsze przedszkolaki, głęboko przeżywające bajki, które graliśmy, dziś są dojrzałymi młodymi ludźmi na których obecność na widowni wciąż mogę liczyć, uświadamia, jak stała, niezmienna wręcz jest nasza rola. Tego się trzymam i lat ani siwych włosów nie liczę.

Zatem misja teatru pomaga oszukać czas?

My czasu nie oszukujemy, nie zasklepamy się w przetrwaniu tego co było, nie zamykamy się w skorupie własnych umiejętności. Szukam ja, szukają aktorzy, reżyserzy, których do nas zapraszam. Teatr nie jest twierdzą, choć ma tak bogatą tradycję. Musi być atrakcyjny, aby nie brać na swoje barki ryzyka rozbratu z publicznością, która go nie tylko wypełnia, ale i uszlachetnia, czyni go wiarygodnym, bo wciąż potrzebnym. Im to właśnie, naszym widzom, z całym szacunkiem oddajemy nasze umiejętności. Taki bezpośredni kontakt cenię sobie szczególnie.

Teatr atrakcyjny, bliski widza?

Powiedziałbym nawet: w najbliższy z możliwych sposobów. Nasz teatr powinien być teatrem pierwszego kontaktu. Jednocześnie ma za zadanie stać się na tyle atrakcyjnym, aby oddziaływać na całą Wielkopolskę i na mapie kulturalnej regionu mieć swoje wyraźnie uwypuklone miejsce.

Powiedziane pięknie, jednakże taka myśl koresponduje z opinią, z którą absolutnie zgodzić się nie mogę, iż teatr gnieźnieński jest znakomitą, jednak w istocie prowincjonalną sceną...

Dlatego, że naszym zamierzeniem jest oddziaływać na Wielkopolskę? Ależ jesteśmy obecni nie tylko w naszym regionie, sięgamy dalej, w Polskę i poza jej granice. Czechy, Holandia to państwa, w których mieliśmy okazję się pokazać, ostatnio do tej listy dorzucić wypada Szwecję. W Szwecji właśnie możemy się zaprezentować z



mgr J. Fiedor

„Przypadkiem dla Freudenthala” Anthony Swerlinga, interesującą nie tylko dla polskiego widza – jestem o tym przekonany – metaforą ludzkiego losu i przeznaczenia.

Monodram ten nie jest przecież tworzywem typowym dla teatru. Nad tekstem i jego adaptacją trzeba było intensywnie pracować. Czy oznacza to, że teatr w Gnieźnie śmiało wkracza na pole eksperymentu scenicznego? Czy zarazem ulegną zmianie dotychczasowe proporcje repertuarowe?

W żadnym razie. Teatr jest nie tylko metaforą, to także swego rodzaju laboratorium, sceneria, w której dokonują się nieustanne zmiany. Przekształcenia podyktowane poszukiwaniami autorskimi i oczekiwaniami publiczności. Przy tym teatr musi pozostać tym, czym jest na codzień: formą wypowiedzi akceptowanej przez możliwie szeroką grupę widzów i miłośników tej formy wyrazu. Reasumując: nasz teatr nie zmienia kształtu swej wypowiedzi. Obok poszukiwań, a nawet eksperymentów, pozostają stałe pozycje, od których nie uciekamy. I tę część repertuaru budujemy jako istotny wkład w dzieło oswojenia publiczności ze specyficznym klimatem sceny, gdzie w ograniczonej – skonstruowanej przez autora, choćby nie wiem jak genialnego, przestrzeni – z ust aktorów padają uniwersalne, niezależne od upływu czasu, prawdy. A nawet przepisy na życie.

Są więc w repertuarze i klasycy?

Nigdy fredrowski teatr nie odwracał się plecami od swego patrona. Jest sztuka Fredry w każdym sezonie i staramy się, aby była ona wydarzeniem, nie ograniczonym tylko do naszego teatru. Tak było choćby z ostatnią premierą „Zemsty”, która opowiadając historię doskonale większości Polaków znaną, jest też próbą podejrzenia polskiego ducha i myśli pierwszej połowy XIX wieku; stąd to co pokazaliśmy, pozostawało w wyraźnej korespondencji z „Panem Tadeuszem” Mickiewicza. Liczne aluzje, nawiązujące do pokrewieństwa czasu i materii didaskalia, wszystko to dąży ku zasygnalizowaniu pokrewieństwa romantycznego ducha wielkiego poety i niemniej ważnego dla naszej kultury dramaturga. A poza Fredrą trwa jednak poszukiwanie w obrębie wielkiej światowej klasyki. Nazwiska, które się ostatnio przewijały w naszym repertuarze: Szekspir, Molier czy Gogol świadczą, że nie opuszczamy królewskiego traktu teatru. Nadal podążając tym gościńcem, pasujemy się ze Swiftem, Witkacym i Gombrowiczem. Zatem: „Podróż Guliwera”, „Szewcy”, „Transatlantyk”. Dwie pierwsze propozycje przyoblekły już określony kształt sceniczny. Z kolei dla przedszkolaków – bowiem to jest przyszła widownia naszego i innych teatrów – „Calineczka” na motywach Andersena w żywym planie.

W ciągu lat, gdy „Pegaz” obecny był w Gnieźnie jako przychylny – co usprawiedliwia i osoba dyrektora i repertuar teatru – recenzent, uderzała stałość nie tylko koncepcji teatru, ale i całego zespołu. Jednak zmiany warty nie dało się uniknąć?

Zmiana warty nie jest tu chyba najbardziej trafnym określeniem. Jeśli w tej chwili szereg znaczących kreacji stworzył Michał Frydrych znaczy to, że aktor ten jest w znakomitej formie scenicznej, a to z kolei pociąga chęć stawiania przed nim coraz to nowych zadań ze strony naszej i z kolei sprawdzania się, pokonywania barier i ograniczeń dla niego samego. Nie jest to jednak zmiana warty, a pewien złożony proces, którego uczestnikami są twórcy, aktorzy i publiczność. Falstaff, horodniczy czy Harpagon to dużego formatu role nasyczone niepowtarzalną osobowością tego aktora. Coraz więcej ważnych ról gra też Maciej Hązła a wynika to przede wszystkim ze splotu okoliczności, który wysuwa niektórych członków zespołu na jego czoło. Jeśli zaś chodzi o Michała Frydrycha, to „Przypadek Freudenthalla” – znakomicie zagrany na dużej scenie monodram, przejmujące studium samotności, – stanowi kolejny krok na drodze aktorskiego rozwoju.

Czy to oznacza, że znaczące role stały się w Gnieźnie domeną mężczyzn?

Nic podobnego. Agata Witaszak, Jolanta Skawina, Monika Belau to tylko kilka przykładów aktorek o wielkich możliwościach, których nie mogą w pełni wykorzystać. Powód jest prozaiczny – mniej jest znaczących ról dla kobiet. Brakuje takich kreacji, w których mogłyby pokazać w pełni swoje niepospolite możliwości. Nie tracę jednak nadziei, że ważne i wartościowe role dla tak utalentowanych i znaczących aktorek powinny się z czasem znaleźć. Tymczasem cieszę się z potencjału, jaki posiada nasz cały zespół.

Upływający czas okazał się nieubłagany. Kilka wybitnych postaci związanych z gnieźnieńską sceną przyszło na zawsze pożegnać. Czy ich brak jest dotkliwie odczuwalny?

Z całą pewnością. Henryk Tomaszewski był przecież niekłamany duchowym ojcem naszego teatru. Wielki artysta, nieprzeciętny człowiek, pozostawił tu, w Gnieźnie wyraźny ślad poprzez realizacje, w których uczestniczył. Były to bez wyjąt-

ku projekty wybitne, szeroko i z uznaniem komentowane, że przypomnę choćby „Spór” Marivaux. Równie dotkliwa jest strata Lucjana Zachmoca, który wraz z żoną Barbarą tworzył tu scenografie nie tylko odpowiadające naszym wyobrażeniom i wychodzące naprzeciw niełatwym do spełnienia oczekiwaniom, lecz stanowiące same w sobie osobne dzieła sztuki. Nie poddawał się do końca, pracował niemal do ostatka, z teatru czerpiąc siły, aby dalej trwać. Wystawa jego projektów, którą prezentowaliśmy wiosną we foyer naszego teatru to skromny wyraz pamięci, a zarazem hołdu dla jego pracy i osiągnięć. Będzie nam ich obu nieraz jeszcze dotkliwie brakować.

Czy w minionym okresie jest jakiś obszar, którego dyrektor Tomasz Szymański zazdrości Tomaszowi Szymańskiemu artyście?

Nie. ci dwaj Szymańscy – myślę – dobrze się uzupełniają. Co więcej, Szymański – dyrektor coraz częściej sięga wstecz, do początków swojej artystycznej drogi. Stąd na przykład systematyczna ostatnio współpraca z Lechem Raczakiem, który u nas reżyseruje i spędza w Gnieźnie coraz więcej czasu.

Zatem powrót do źródeł w roku czterdziestolecia Teatru Ósmego Dnia?

Nie, to nie tak. Po prostu nasze artystyczne szlaki w pewnej chwili rozdzieliły się, a teraz ponownie splatają się razem. Tak bywa i w życiu i w teatrze. Natomiast czy wówczas – w Teatrze Ósmego Dnia – czy teraz i tutaj – na scenie, którą po trosze żartem nazwaliśmy teatrem pierwszego kontaktu – staramy się nie tylko ukazać widzom problemy, jakie nas nurtują, rzeczy ważne społecznie i kulturowo, niezależne od czasów i przemijających mód aksjomaty. Pragniemy także w codziennym kontakcie, poprzez dokonujące się co wieczór swoiste misterium spektaklu, wzburzać i wzruszać owe najbardziej ludzi, czułe strony naszej widowni. Taka jest misja i zadanie teatru. Temu też teatr w Gnieźnie pozostaje wierny.

Życząc, aby misja teatru pierwszego kontaktu rozwijała się tak wspaniale, jak do tej pory, dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał: Tomasz DYMACEWSKI

Metafizyczny Happening,



*czyli na co komu potrzebny jest
w dzisiejszych czasach Teatr Witkacego*

Witkacy niełatwym autorem jest. Co do tego chyba nikt nie ma żadnych wątpliwości. Niełatwo czyta się jego sztuki, równie trudno tak je wystawić na deskach teatru, by nie były tylko bełkotem czystej formy – bez jakiegokolwiek przesłania.

Wybrnąć z tego trudnego zadania udało się twórcom z Teatru im. Aleksandra Fredry w Gnieźnie. Na warsztat (nomen omen) reżyser i scenograf przedstawienia Józef Jasielski postanowił wziąć „Szew-

ców” – jedną z najtrudniejszych sztuk Stanisława Ignacego Witkiewicza. Najtrudniejszą, bo łączącą w sobie wszystkie natężenia twórczości Witkacego – przeświadczenie o końcu cywilizacji, poczucie nudy i przypadkowości istnienia. Filozofia miesza się tu z grubiaństwem, cynizm z rozpaczą. Krótko po premierze sztuki krytycy nazwali ją „arcydziełem złego smaku”. Dziś, mimo upływu prawie pięćdziesięciu lat od tej chwili, trudno o lepsze określenie.

Przez trzy akty na scenie króluje nieprzerwanie porażający bełkot „nowomowy”, z którego tylko raz na jakiś czas można wyłowić jakiś sens. Ten informacyjny roztwór jest dziś chyba aktualniejszy niż kiedykolwiek. Trudno nie odczytać intencji reżysera – to jak przełączanie kanałów telewizora i próba odnalezienia sensu w zalewie wiadomości. Język – to prawdziwy bohater tej sztuki. Słowa wyrwane ze znaczeń, z kontekstów, albo tak ze sobą połączone, że tworzą niezrozumiałą całość. U Witkacego posługują się nim tak samo wszyscy – począwszy od tytułowych szewców, poprzez wykształconego Prokuratora Scurvy, po wyuzdaną księżną Irinę Wsiewołodowną Zbereznicką – Podberezką. W gnieźnieńskim wykonaniu słowa wypowiedziane przez aktorów przebijają się przez szum – z kaset z nauką angielskiego, popularnych piosenek z komercyjnych stacji radiowych.

W tym kontekście walka o władzę, o której marzą w pewnym momencie prawie wszyscy bohaterowie, przypomina nam o podobnej walce, która toczy się już nie na scenie. „Bitwie o stołki”, którą oglądamy codziennie o 17.15, 19.00, 19.30.

Józef Jasielski – wykorzystując do tego Szewców – wytyka głupotę i beżmyślność, które zdominowały już nasz język a często i myśli. Wyciąga ze sztuki Witkacego ponadczasowość i wkłada ją w ramki znane człowiekowi XXI wieku.

Jest taka anegdota o Witkacym, którą przypomniał mi ten spektakl.

S.I. spotkał kiedyś w Zakopanem swoją dobrą znajomą – jedną z pań z War-



szawy, bardzo towarzyską i lubianą, z którą się przyjaźnił. Zagadnęła go „Co u Pana słychać?”, ot tak, aby rozpocząć rozmowę. Nawet o tym nie wiedząc, w tym właśnie momencie doprowadziła do końca swoją znajomość z Witkacym. Zerwał z nią wszystkie kontakty. Oświadczył, że z osobą, która zadaje tak głupie pytania nie chce mieć już nic do czynienia.

Witkacy nie zgadzał się na beżmyślność, bylejałość, nie tylko językową.

A my?

Paulina BRENCZ
fot. M. Skrzypkowski

NEVER SAY GOODBYE?

*Co się stało z Jonem B. – czyli Bon Jovi
na biegunach zamiast stalowych koni*

Ochodzę w blasku chwały śpiewał kiedyś Jon Bon Jovi i przez jakiś czas wydawało się, że tak też się stanie. Lepiej pozostawić po sobie niedosyt, niż rozczarować słuchaczy nowymi produkcjami; nie każdego jednak na to stać. Zastanawiam się tylko, czy zespół Bon Jovi rzeczywiście wierzy w artystyczną wartość swoich nowych produkcji, czy też z premedytacją odcina kupony od czasów swojej świetności.

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych rockowa scena w Stanach Zjednoczonych zdominowana była przez krzykliwe wyglądających wykonawców grających dynamicznie i przebojowo z przerwą na jedną czy dwie ballady. Na ich koncertach co ładniejsze dziewczyny zrywały z siebie poszczególne części garderoby, krzycząc „I love you!” (obok mniej romantycznych wyznań) – wszystko, by wyrazić zachwyt nad podkreślonym eyelinerem i szminką obliczem swoich herosów, które wieńczyła najczęściej okazała trwała. Muzyka, często banalna i kiczowata, nie przetrwała w wielu przypadkach próby czasu. Były jednak także wyjątki, których przyjemnie posłuchać do dziś. Zalicza się do nich zespół Bon Jovi przeżywający w tamtym czasie szczytowy okres swojej działalności.

W 1986 roku ukazał się trzeci – przełomowy w karierze grupy album *Slippery When Wet*. „Livin’ On A Prayer” tekstowo

przypominało Springsteena z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, muzyka dostosowana była jednak do aktualnych trendów i wkrótce piosenka dotarła na szczyt amerykańskiej listy przebojów, pozostając do dziś „wizytówką” grupy. To jednak nie wszystko – na płycie znalazły się też: kipiące energią – „You Give Love A Bad Name”, ballada „Never Say Goodbye” – o wszystkim, co ważne w życiu kiedy jest się młodym i autobiograficzne: Jestem kowbojem, co na stalowym koniu mknie... – czyli „Wanted Dead Or Alive”.

Kontynuacją, a właściwie rozwinięciem *Slippery When Wet* było wydane w 1988 roku *New Jersey* – płyta lepiej dopracowana muzycznie i jeszcze bardziej przebojowa. Album przyniósł kolejne single w hity: „Lay Your Hands On Me”, „Born To Be My Baby” i „Bad Medicine”, oraz kilka niezłych ballad m.in. kołyszące „I’ll Be There For You” i „Living In Sin” (później już takich nie nagrywali). *New Jersey* było doskonałym podsumowaniem melodyjnego amerykańskiego hard rocka lat osiemdziesiątych, a także ukoronowaniem działalności Bon Jovi. To płyta, która do dziś pozostaje moją ulubioną pozycją w ich dyskografii.

Oba albumy promowane były ogromnymi trasami koncertowymi, które wykończyły zespół nie tylko fizycznie, ale i psychicznie. Z końcem lat osiemdziesiątych muzycy nie chcieli już na siebie patrzeć, a



tym bardziej rozmawiać o kolejnych wspólnych projektach.

Początek lat dziewięćdziesiątych przyniósł solowe albumy dwóch filarów zespołu. W 1990 roku Jon Bon Jovi odniósł spory sukces dzięki płycie z piosenkami do filmu „Young Guns II” zatytułowanej *Blaze Of Glory*. Oprócz nagrodzonego Złotym Globem i nominowanego do Oscara tytułowego przeboju, z płyty warto może jeszcze przypomnieć „Miracle” i „Santa Fe”. Rok później ukazał się znacznie ciekawszy, choć już nie tak popularny krążek gitarzysty Richie’go Sambory – płyta o bluesowym posmaku, zatytułowana *Stranger In This Town*. W tamtym czasie wydawało się, że grupa Bon Jovi przeszła już do historii lat osiemdziesiątych. Muzycy mieli jednak wystarczająco dużo wiary w siebie i w zespół, by spróbować swoich sił na muzycznym rynku lat dziewięćdziesiątych. W 1992 roku ukazał się piąty album Bon Jovi pod znaczącym tytułem *Keep The Faith*, pokazujący niestety, że wiara to jeszcze nie wszystko. Zabrakło weny i werry z poprzedniej dekady – zabrakło dobrej zabawy, która była do tej pory siłą napędową zespołu. Bon Jovi nie tyle dojrzało, co postarzało się muzycznie.

Na początku lat dziewięćdziesiątych rockmani w obcistych skórzanych strojach, z makijażem na twarzy i trwałą na głowie musieli ustąpić miejsca bardziej warygodnym młodziakom w zwykłych, kraciastych koszulach, śpiewającym trochę mniej przebojowe piosenki, w których nie było już miejsca na „dziewczyny płaczące za swoimi kowbojami”. W przypadku Bon Jovi tak radykalna zmiana nie wchodziła oczywiście w grę. Zespół zaczął grać bardziej stonowane piosenki wypełniające „sympatyczne” – ale momentami nudnawe albumy. Komercyjny efekt został mimo wszystko osiągnięty: płyty sprzedawały się niezłe – chociaż na cały album przypadają co najwyżej dwie lub trzy naprawdę udane piosenki. Najciekawszym nagraniem Bon Jovi z pierwszej połowy lat dziewięćdziesiątych jest „Dry County” – zasadniczy powód dla którego sięgam po *Keep The Faith*. Można wspomnieć jeszcze: nawiązujące do przebojów zespołu z lat osiemdziesiątych „In These Arms” i „Sleep When I’m Dead” z tej samej płyty, a także „Something To Believe In”, oraz przypominające do złudzenia hity Aerosmith, „Hearts Breaking Even” – oba już z



wydanego w 1995 roku albumu *These Days*. To jednak niezbyt dużo jak na zespół, którego najmocniejszą stroną było łączenie wpadających w ucho melodii z hard rockową energią – takie w całości było New Jersey i właśnie tego zaczęło drastycznie brakować na kolejnych płytach. Miało być bardziej ambitnie, ale to udało się tylko w przypadku wspomnianych: „Dry County” i „Something To Believe In”.

Po kolejnych solowych projektach Jona i Richiego, w roku 2000 ukazał się następny, studyjny album zespołu – trochę „sympatyczniejszy” od dwóch poprzednich, świeższa w odbiorze płyta *Crush*. Tymczasem do kolekcji sztandarowych hitów Bon Jovi dołączył otwierający album, energetyczny singiel „It’s My Life”. Próżno natomiast szukać hitów na wydanym dwa lata później krążku *Bounce*. Nie chodzi zresztą o same hity. Na tej płycie nie dzieje się już nic ciekawego i słuchając jej trudno oprzeć się wrażeniu, że zespół starając się podążać tropem poprzedniego albumu, kręci się w miejscu usiłując stworzyć coś dobrego – chociaż wyraźnie nie ma już ani siły, ani wystarczająco dobrych pomysłów. Pomysłów – tyle, że zdecydowanie „niezbyt” dobrych – nie brakuje im za to na przetwarzanie swoich wcześniejszych nagrań.

Trzy lata temu, na fali popularności płyty *Crush* ukazała się koncertowa – w zamierzeniu – płyta Bon Jovi *One Wild Night – Live 1985-2001*. Album okazał się być niespójnym zlepkiem nagrań z okłaskami, zarejestrowanych głównie w latach 1995-2000 (z dwoma wyjątkami z 1985 roku), z dodatkiem przearanżowanej, stu-

dyjnej wersji tytułowego „One Wild Night” (pochodzącego w oryginale z Crush). Być może płyty posłuchał kiedyś Bruce Springsteen i zatroskany o swoich młodszych kolegów podrzucił im po sąsiedzku w rodzinnym New Jersey swój własny zestaw Live 1975-85 – niech chłopaki posłuchają jak się robi koncertowe płyty. To wyjaśniałoby dlaczego podczas trasy promującej Bounce Jon i koledzy postanowili zrehabilitować się i nagrać kolejny album koncertowy – tym razem akustycznie. Bądź co bądź akustyczne wykonanie „Wanted Dead Or Alive” i „Livin’ On A Prayer” Jona i Richiego podczas rozdania MTV Video Music Awards 1989 stało się załącznikiem cyklu MTV Unplugged. Gorzej, że zamiast trzymać się pierwotnego planu muzycy postanowili iść na całość...

Do współpracy nad nowym opracowaniem swoich starych przebojów zespół zaprosił Patricka Leonarda – który największą sławę zyskał jako producent i współautor nagrań Madonny oraz Maxa Martina – odpowiedzialnego za produkcje m.in. Britney Spears i Backstreet Boys. Efektem tego osobliwego mariażu jest wydana pod koniec ubiegłego roku płyta *This Left Feels Right* z podtytułem *The Greatest Hits... With A Twist* – co po przestłuchaniu nagrań mogę przetłumaczyć tylko jako: Największe przeboje... w pokręconych wersjach (uważając to za eufemizm). Trudno nie docenić tego, co Patrick Leonard zrobił wraz z Madonną – tym bardziej przykro słuchać efektów jego współpracy z Jonem Bon Jovi i Richie’m Samborą. Piosenki zostały odarte ze wszystkiego, co było w nich najlepsze. W nowych wersjach brzmią jak dziwaczny – i z pewnością nieudany eksperyment muzyczny, zawieszony w próżni między hard rockiem w akustycznym wydaniu, a muzyką pop. Zamiast nowej inwencji twórczej słychać w nich bezsilność wobec oryginału, co prowadzi tylko do „zabójstwa” kompozycji podczas nowego miksu. Wizualnie można to porównać do zniekształconego oblicza po nieudanej operacji plastycznej. Za podsumowanie płyty wystarczy jedno słowo: niepotrzebna.

Jak na ironię w całym zestawie najmniej po przeróbkach ucierpiała piosenka „It’s

My Life” w wyciszzonej aranżacji Maxa Martina, specjalizującego się na co dzień w tanecznym popie dla nastolatków. Akurat po ten utwór można by śmiało sięgnąć szukając ciekawostki na drugą stronę singla – po ten i ewentualnie po soft-rockowe „Lay Your Hands On Me”, czego zdecydowanie nie można powiedzieć o koszmarnych wersjach: „Wanted Dead Or Alive”, „Bad Medicine” czy wymuszonym „Livin’ On A Prayer”. Tę ostatnią piosenkę Jon Bon Jovi zaspiewał tym razem w duecie z Olivią d’Abo – była dziewczyną Bonda (śliczną wiolonczelistką z „The Living Daylights”), a prywatnie żoną Patricka Leonarda. Cóż mogę napisać, urodziwa Olivia zdecydowanie lepiej sprawdziła się w ekranowym duecie z 007 – Timothy Daltonem, niż wokalnie z kowbojem z New Jersey – Jonem B. Zresztą sam kowboj powinien być może pomyśleć już o tym, by oddać swoją gwiazdę i odjechać w kierunku zachodzącego słońca, bo jego czas na stanowisku szeryfa dobiegł końca już ponad dwanaście lat temu.

W jednym z wywiadów Jon Bon Jovi powiedział, że choć nagranie „Everyday”, promujące poprzedni album zespołu Bounce, nie zyskało większej popularności znalazło się w nowej wersji na płycie *This Left Feels Right*, ponieważ on nadal w nie wierzy. Po takich płytach jak Bounce i *This Left Feels Right* zarówno Jon jak i reszta zespołu będą potrzebowali dużo wiary, bo nawet najwytrwalszym fanom może jej zabraknąć – tym bardziej, że zespół podobno planuje zaprosić Pata Leonarda także do współpracy nad kolejnym albumem. Ja, choć do zagorzałych fanów Bon Jovi zaliczać się nie śmiem, z przyjemnością i sentymentem powrócę do płyt *Slippery When Wet* i *New Jersey*; tymczasem co do Jona, Richiego i reszty chłopaków: jak mówią słowa ich własnej piosenki never say goodbye – choć może jednak nadszedł już czas?

Błażej OCZKOWSKI
fot. internet



Ślady naszych przodków

Unikatowe wyroby z obsydianu sprzed ponad 12 tysięcy lat, piękna ceramika ze środkowej i młodszej epoki brązu, oraz urokliwa biżuteria z czasów wczesnego średniowiecza – wszystko to można znaleźć na wystawie w poznańskim muzeum archeologicznym. Prezentuje ona plon pracy archeologów z ostatnich dwóch lat wykopalisk prowadzonych na Nizinie Wielkopolsko – Kujawskiej.

Ekspozycję przedstawioną na wystawie pochodzą z 35 stanowisk, a towarzyszą im nie tylko obszernie opisy wyjaśniające przeznaczenie przedmiotu, ale i fotografie miejsca znaleziska, bądź graficzne rekonstrukcje ich otoczenia, co pozwala nawet niefachowcom wyobrazić sobie pierwotny wygląd i przeznaczenie przedmiotu, a nawet – jego otoczenie.

Prastary obsydian i kości do gry

Ekspozycja jest podzielona na dwie części: zabytki pradziejowe, oraz zabytki średniowieczne i z czasów nowożytnych.

- Jeśli chodzi o wartość naukową, to niezwykle ważne było odkrycie w Cichmień koło Koła miejsca obróbki obsydianu – osada jest datowana na 10 tysięcy lat przed naszą erą. To wyjątkowe odkrycie w

Kafle z Pobiedzisk





Tajemniczy srebrny skarb i najstarsza bulla

skali całego Niżu Polskiego – wyjaśnia Alicja Gałęzowska, jeden z dwóch – obok Barbary Kirschke - komisarzy tej wystawy.

Ważnych odkryć dokonano również w osadzie obronnej ze starszej epoki brązu w Bruszczewie koło Kościana - dodaje Barbara Kirschke. – Proszę zwrócić uwagę, mamy tu dna pojemników z kory drzewnej: bardzo rzadko z tak odległych czasów zachowuje się coś takiego. Natrafiono tutaj również na fragmenty warsztatu odlewcy, to przecież początki metalurgii.

Na szczególną uwagę zasługują znaleziska z grobów szkieletowych i całopalonych w Karczynie niedaleko Inowrocławia datowane od I po V wiek naszej ery głównie ze względu na ich wyposażenie: naczynia, broń, ozdoby i przedmioty codziennego użytku. Wśród znalezionych przedmiotów są kolorowe paciorki, stanowiące niegdyś ozdobę bogatego stroju kobiecego, może nakrycia głowy lub twarzy, zapinki i zawieszki, a nawet klucz, kłódkę i... kości do gry. W jednym z grobów znaleziono także dwa rzymskie denary wybite za panowania cesarza Kommodusa, a w prawdziwe osłupienie archeologów wpawił pochówek ...psa.

Równie interesujące są rezultaty badań prowadzonych na Ostrowie Tumskim. Wśród najciekawszych znalezionych tam zabytków jest brązowa pieczęć brata Jakuba, lektora zakonu dominikanów, pochodząca z przełomu XIII i XIV wieku oraz tygielki odlewnicze z pracowni złotnika – pracującego, być może, dla samego księcia...

Prawdziwe skarby

Unikatowa jest też bulla ołowiana znaleziona w okolicach miejscowości Głębokie, w gminie Kiszewo. Według wstępnych datowań pochodzi ona z okresu między drugą połową XI wieku a pierwszą połową XII i jest jedną z dwóch najstarszych zachowanych pieczęci polskich. Drugą jest pieczęć Władysława Hermana, która jednak znajduje się w zbiorach niemieckich. Znaleźisko przekazał muzeum jego odkrywcy – poznańscy archeolodzy Małgorzata i Mirosław Andrałowicz.

Jednak uwagę zwiedzających przyciąga skarb 929 srebrnych monet, malowniczo ułożonych wokół glinianych naczyń. – Niewiele mamy informacji o tym skarbie – opowiada Barbara Kirschke. - Wiadomo jedynie, że pochodzi z terenu Wielkopolski, a do Muzeum trafił dzięki środkom przekazanym przez Spółdzielczą Grupę Bankową GBW S.A. zawiera niezwykle cenne monety: między innymi półgrosz Władysława Jagiełły bity we Lwowie, półgrosze miasta Świdnicy i krajarcy z Tyrolu.

Ale tak naprawdę o każdym z eksponatów można by opowiedzieć równie fascynującą historię: o kolorowych średniowiecznych kaflach zdobionych domy Pobiedzisk i Międzyrzecza, o kominku w domu opata w Łeknie i urządzeniach kuchni klasztornej, o podkowach końskich zgubionych na poznańskim Starym Rynku około XIII wieku - po prostu trzeba pójść i zobaczyć to wszystko na własne oczy...

Lilia ŁADA
Fot. Wojciech Wardejn

Amerykanin w Poznaniu

W Polsce propagator szalonych idei, wydawca, radiowiec i biznesmen. W Stanach, skąd przyjechał do Polski 12 lat temu – pastor kościoła episkopalnego. Robert D. Gamble opowiada o tym, czym urzekł go Poznań i poznaniacy, oraz co na „jego amerykańskie oko”, wyjdzie z naszego członkostwa w Unii Europejskiej.

Do Poznania przyjechał Pan na stałe 12 lat temu. Mieszka pan w naszym mieście z wyboru. Dlaczego Poznań?

Do Poznania mam szczególny sentyment. Po raz pierwszy przyjechałem tu w 1958 r., dwa lata po Czerwcu 1956 r. Znajomy zabrał mnie i mojego kolegę, również Amerykanina na ulicę Kochanowskiego, pod budynek UB. Gdy robiliśmy zdjęcia, aby pokazać to miejsce w Ameryce, wyszło dwóch milicjantów i „zaprosili” nas do środka. Nigdy nie zapomnę momentu, w którym nasz kolega Polak, gdy milicjanci nie patrzyli, wyrwał z notesu kartkę z jednym z adresów i ją zjadł. Wtedy sobie pomyślałem, że to nie jest zwykła wycieczka z pstrykaniem zdjęć i że sytuacja jest o wiele poważniejsza niż sądziłem. Wtedy właśnie urodził się mój sentyment do tego miasta, które miało odwagę sprzeciwić się ówczesnie panującemu porządkowi rzeczy.

Wrócił Pan tu jeszcze kilka razy, by na stałe zostać 12 lat temu.

Tak, robiłem wtedy reportaże o Poznaniakach do lokalnej polonijnej telewizji w Bostonie. W pewnym momencie pomy-



foto: www.mediarodzina.com.pl

ślałem – dlaczego nie stworzyć w Poznaniu radia dla ludzi o ludziach! Tak powstało Radio Obywatelskie. Bardzo zaangażowałem się też w tworzenie polskiego ruchu Anonimowych Alkoholików, który pierwsze doświadczenia zbierał właśnie tu, w Poznaniu. Często pytano mnie – dlaczego AA w Poznaniu? Wcale nie z uwagi na to, że tu z alkoholizmem zmagало się więcej ludzi. Chodzi o podejście. Poznaniacy, gdy mają problem mówią – „OK, usiądziemy i spróbujemy go rozwiązać”. Warszawiacy na przykład czekają, aż ktoś im przyjdzie z pomocą.

Mimo że mieszka Pan tu już sporo lat, ma dystans do tego, co się dzieje w Polsce, ma Pan spojrzenie człowieka z zewnątrz. Polska w Unii Europejskiej – sporo to zmienia?

Trudno mi na to pytanie odpowiedzieć teraz. Poczekajmy 10 lat.... To duże wyzwanie. Nie boję się o tożsamość Polaków. Myślę, że wbrew temu co sami o sobie mówicie i myślicie ocalicie swoją odrębność. To na pewno sporo szansa dla tego i następnych pokoleń Polaków by wpływać nie tylko na losy waszego kraju ale i całego kontynentu.

Poprzez swoje działania – Radio Obywatelskie, wydawnictwo, wigilie pod Rondem – pokazywał Pan poznaniakom jak powinno wyglądać społeczeństwo obywatelskie, na czym ta gra polega. Byliście pojętnymi uczniami?

O tak, od razu znalazłem tu ludzi gotowych pomagać i wspierać mnie i moje pomysły. Może nie wszyscy podchodzili do niektórych – szalonych według większości – idei ze zrozumieniem od samego początku, ale... proszę spojrzeć jak wpisała się w poznański kalendarz Wigilia pod Rondem. Przecież na to spotkanie niektóre rodziny przychodzą już od wielu lat. Myślę, że poznaniacy wbrew opinii o swojej zachowawczości mają wielkie serca. I całkiem nieźle zdają egzamin ze społeczeństwa obywatelskiego.

Ma Pan jakieś ulubione miejsca w Poznaniu, do których wraca w wolnej chwili?

Szczerze mówiąc, gdy mam chwilę czasu, to po prostu czytam. To i praca i przyjemność. Dlatego moje ulubione miejsce w Poznaniu to tak naprawdę miejsce bardzo ważne. To Brama do Fabryki Wagonów i Lokomotyw Cegielskiego, skąd w 1956r. pierwsi strajkujący wyszli na ulicę. Wtedy historia zaczęła zmieniać swój bieg. Dzięki tamtym wydarzeniom mogę od tyłu lat mieszkać w Poznaniu. Mogłem stworzyć Radio Obywatelskie, a potem wydawnictwo Media Rodzina.

Rozmawiała: Paulina BRENCZ

Smakować czas miniony



Kiedyś już, na łamach „Pegaza” napisałem, jak wielkie szczęście ma Poznań – miasto, które niemal bez przerwy może liczyć na zakochanych w sobie kronikarzy. Gdyby nie Marceli Motty czy Zdzisław Zakrzewski – a z wypróbowanego zastępu miłośników grodu nad Wartą wybrałem nazwiska najbardziej znane – cóż wiedzielibyśmy o przeszłości tak zacnego miasta? Niewiele, lub zgoła nic. Tymczasem z biegiem lat historia miasta i ludzi, którzy budowali jego współczesność a wraz z nią fundamenty przyszłości zyskiwała wartość bezcenną. Ludzie odchodząc, pozostawiają jednak po sobie wiele: pamięć, specyficzną atmosferę niektórych miejsc, sobie tylko właściwe wzorce zachowań, które z czasem mogą stać się standardem życia przyszłych pokoleń. Nade wszystko jednak ta społeczna historia miasta i żyjących w nim ludzi składa się na nieustannie wzrastającą, obfitującą w fakty i anegdoty tkankę, na której budują coraz to nowe generacje.

Robert Gamble – właściciel wydawnictwa „Media Rodzina” w Poznaniu zagrościł na stałe, choć zarzeka się, że kiedyś powróci do rodzinnego Bostonu. Oby stało się to jak najpóźniej. Gamble jest bowiem



Poznaniowi potrzebny, nie tylko jako wydawca, znaczący w tutejszym środowisku działacz kulturalny, inicjator szeregu udanych i społecznie nośnych akcji. Miastu potrzeba jak największej liczby tak autentycznie zauroczonych jego atmosferą entuzjastów. W takiej roli Robert Gamble odnajduje się znakomicie. Najnowszym tego dowodem jest „Poznań doznań” – pozycja, w której jak w czarodziejskim zwierciadle odbija się pół wieku historii miasta.

„Poznań doznań” trudno zakwalifikować jednoznacznie do jakiegokolwiek kategorii literackiego przekazu. Zawiera w sobie wiele elementów albumu, jednak typowym albumem nie jest. Partie tekstu towarzyszące zdjęciom zdają się z kolei wskazywać na rodzaj pamiętnika. Jest też to galeria portretów, choć brak tu zdjęć portretowych. Za to nie brak widoków Poznania – i tego uroczystego, nieco staroświeckiego i typowo socjalistycznie osiedlowego i zaniedbanego i opuszczonego. Książka przemawia językiem przekazu słownego i obrazu. O ile o warstwę słowa zadbały Barbara Sauer i Kinga Czachowska, o tyle część ilustracyjną stanowi dzieło Bogusława Biegowskiego. Obie formy wypowiedzi znakomicie się uzupełniają. O Poznaniu opowiadają ludzie w różnym wieku, przeróżnych profesji (choć przeważają twórcy i przedstawiciele wolnych zawodów), w rozmaity sposób z miastem związani. Rozpiętość skali uwidaczniają z jednej strony głosy osób takich jak dr Wanda Bieńska, z drugiej zaś Ryszard

„Peja” Andrzejewski. Pomimo to, a właściwie może dlatego właśnie, paleta doznań jest tak pełna i wyrazista. Co charakterystyczne – starsi opowiadają o wycinku swojego bogatego życia, czasem o jednostkowym wydarzeniu. Młodzi – przeciwnie. Dla nich opowieść jest ważnym etapem ich życia. Obejmuje w telegraficznym skrócie kilkanaście nieraz lat.

„Poznań doznań” nie mieni się barwą kolorów. Zdjęcia Bogusława Biegowskiego utrzymane są w klasycznej, czarno – białej tonacji, często lekko przymglone, jakby wychodzą naprzeciw snutych wspomnień. Rzadko na zdjęciach ukazani są ludzie, jeśli już, to ich obecność w kadrze jest dziełem przypadku raczej, aniżeli świadomym zamysłem. Bohaterami mają być i tak się dzieje istotnie, charakterystyczne budowle, załuki, podwórza. Do zdjęć dostosowuje się szata graficzna, która konsekwentnie również zachowuje kolorystykę dyskretną, stonowaną, ciemną – od czerni po przytłumioną szarość.

„Poznań doznań” to zabarwiona wyzieraającym z każdej stronicy sentymentem podróż w czasie. Przybывamy do miejsc, których już nie ma, miejsc zmieniających swój charakter i swoje oblicze. Oto typowy przykład: jedna z wypowiedzi często powraca do „Odnowy”, jednak rozmówca ma na myśli pierwszą siedzibę klubu, na Starym Mieście. Podobnych przykładów można by podać więcej...

Wypada mieć taką książkę w swoich zbiorach. Trzeba sięgać po nią tak często, jak tylko to możliwe. Należy z tą książką się zaprzyjaźnić. Naprawdę warto. Nie tylko po to, aby poznać historię miasta i losy zamieszkujących je ludzi. Także i po to, aby odnaleźć i smakować czas miniony...

Tomasz DYMACEWSKI

Bogusław Biegowski, Kinga Czachowska, Barbara Sauer, Poznań doznań, Media Rodzina, Poznań 2003

Nie zamykajmy oczu, nie zasłaniajmy uszu

Preczytałem niezwykle uważnie – raz po razie – książkę, która dla kondycji naszego społeczeństwa ma istotne znaczenie. Tak przynajmniej sądzę. I podtrzymuję ową tezę pomimo faktu, że Wydawca zaznacza, iż jest to pozycja skierowana przede wszystkim do ludzi zawodowo zajmujących się wykorzystywaniem seksualnym dzieci i późniejszą profilaktyką polegającą na przywracaniu ich rodzinom i środowisku.

Anna C. Salter to jedna z najwybitniejszych, jeśli nie najwybitniejsza w ogóle w USA znawczyni problemu pedofilii. W naszym kraju jest to krąg zagadnień, do których powraca się incydentalnie, jedynie w razie bulwersującego opinii publicznej wydarzenia. Na ostatnie głośnie w tej mierze okoliczności powoływał się też Wydawca, rekomendując mi „*Pokonywanie traumy*”. Po przeczytaniu książki zgadzam się całkowicie: jest to pozycja przeznaczona nie tylko dla stosunkowo wąskiego grona osób zainteresowanych zawodowo tą kwestią. Mówiąc o zawodowym zainteresowaniu mam na myśli psychologów, psychiatrów, terapeutów, ale i pracowników organów ścigania i wymiaru sprawiedliwości. Wykorzystywanie seksualne nieletnich jest bowiem w Polsce – jak najbardziej słusznie – uznawane za przestępstwo podlegające ściganiu i osądzeniu.

Nie będę w tym miejscu powoływał się na fragmenty książki A.C. Salter – zbyt drastyczne są zeznania i zwierzenia seksualnych napastników, zarówno tych zewnętrznych, jak i wewnątrzrodzinnych. Opisy są zbyt wstrząsające a bezmiar krzywd ponoszonych przez ofiary – często przez wiele jeszcze lat dorosłego życia – wydaje się wprost nie do przedstawienia. Tych, którzy poznać pragną zjawisko w całej jego przerażającej, ale i odraźniającej postaci, odsyłam do książki zaznaczając, że czeka ich naprawdę spore wyzwanie. A wiedzieć trzeba, że autorka jest raczej obserwatorem niż komentatorem, nie skupiając się na analizowaniu wypowiedzi i przytaczanych tu historii. Poświęciła się natomiast ukazaniu podłoża przestępstwa,

jego planowania i

wykonania samego ataku, a w końcu, unikaniu przez sprawców odpowiedzialności za ich czyny.

Anna C. Salter ostrzega: pedofilia jest przestępstwem, nie aktem słabości, czy też chwilowym zapomnieniem. Przestępcy to ludzie wywodzący się ze wszystkich kręgów społecznych, często zaś wręcz predystynowani do pracy z dziećmi i młodzieżą: dyrektorzy chorów, instruktorzy sportowi, działacze organizacji charytatywnych, duchowni... To, czym się zajmują jest istotne z punktu widzenia dostępu do kręgu potencjalnych ofiar. Takiego ostrzeżenia warto i trzeba posłuchać. Nie osłabia jego wagi fakt, że pochodzi z odległych Stanów Zjednoczonych Ameryki, gdzie wykorzystywanie seksualne nieletnich przybrało niepokojąco rozległą skalę. Salter twierdzi, że statystyka pedofilii składa się niemal z samych białych plam. Większość ofiar milczy: ze strachu przed sprawcą, w poczuciu złudnej z nim wspólnoty wyrokowania, często solidaryzując się z napastnikiem i ochraniając go. Wszak nieraz to ojciec, matka, wujek, ciotka – najbliżsi, których autorka określa beznamytnie terminem „napastników wewnątrzrodzinnych”.

Szok, wstyd, gniew, wstręt... Różne uczucia ogarniają po przeczytaniu tej jedynej w swoim rodzaju książki. Dla nas, którzy nie należymy do grona osób zawodowo zaangażowanych w zwalczanie pedofilii i zapobieganie jej, najistotniejsze wydaje się to, abyśmy chronili nasze dzieci i młodzież, przede wszystkim poświęcając im wiele uwagi. Zdrowej uwagi. Takiej, która nie niszczy, lecz rozwija i pozwala szczęśliwe dzieciństwo rozwinąć w pogodną i dojrzałą drogę życia.

Tomasz DYMACEWSKI

Anna C. Salter, *Pokonywanie traumy. Jak zrozumieć i leczyć dorosłe ofiary wykorzystania seksualnego w dzieciństwie*, Media rodzina, Poznań 2003



Bezrobocie zaczyna się w głowie

Rozmowa z dyrektorem Wojewódzkiego Urzędu Pracy w Poznaniu Zdzisławem Sawalą

Temat bezrobocia jest jednym z najważniejszych obecnie tematów w Polsce, jednak najczęściej omawia się te grupy młodych bezrobotnych, które są najgorzej przygotowane do wymagań nowoczesnego rynku pracy. Czy więc problem bezrobocia nie dotyczy tych najdroższych, bo najwięcej kosztujących Skarb Państwa specjalistów, czyli absolwentów szkół wyższych?

Większość programów, które uruchamiamy dla potrzeb osób bezrobotnych, dotyczy ludzi młodych do 24 roku życia, a programy unijne, które teraz zaczynamy wdrażać – do 25 roku życia, a więc i absolwentów uczelni wyższych. Ale ja bym tego tak nie rozdzielał, bo nasze programy obejmują generalnie pomoc młodym ludziom, bez względu na ich dotychczasowe wykształcenie. Na przykład ten największy program – Pierwsza Praca – jest adresowany do osób, które mają ukończone szkoły ponadgimnazjalne, czyli szkoły zawodowe, licea czy właśnie wyższe uczelnie. I tu trzeba przyznać, że z przygotowaniem absolwentów do pracy zawodowej bywa różnie. Podam tutaj taki niestety smutny przykład: przyjmowałem do pracy u nas, w Wojewódzkim Urzędzie Pracy, Wydziale Funduszy Strukturalnych, sporą grupę ludzi – około 150. Kryteria były dość wysokie, ale trzeba powiedzieć, że większość z tych młodych ludzi po różnych szkołach: prawników, ekonomistów świetnie wykształconych, z różnego rodzaju dodatkowymi certyfikatami i znajomością języków obcych tak naprawdę nie nadawała się w ogóle do rozmowy na takim szczeblu.

Dlaczego?

Ponieważ oni nie bardzo wiedzieli, gdzie przysli. Nawet nie umieli podać prawidłowo nazwy firmy, do której przysli szukać pracy, mówili na przykład „biuro pracy”... To jest pewien rodzaj arogancji, jeśli ja szukając pracy nawet się nie pofatyguję, żeby popatrzeć choćby na tablicę firmy, do której idę. To trudno nazwać nawet głupotą – żeby przyjść do szefa i powiedzieć mu, że chce się pracować w jego firmie, ale nie wie się, w jakiej – to jest arogancja. Ale niestety, także kwestia przygotowania tych ludzi. Oni owszem, mają studia skończone, ale kompletnie nie umieją się poruszać po rynku pracy. No i przychodzili do mnie, bo chcieli pracy w biurze, do jakichś tam papierów. A tu nie ma biur – tu jest Wojewódzki Urząd Pracy! I ma pani przykład – przecież byli to świetnie wykształceni ludzie, jak wynikało z dokumentów, a jednocześnie bez żadnych szans na rynku pracy. Ja po trzech minutach rozmowy rezygnowałem z nich, bo jak ten człowiek wie tylko, że chce do jakiejś pracy, to on jest tu zbędny. Ja potrzebuję ludzi zakręconych i takich, którzy wiedzą, co to jest na przykład Europejski Fundusz Społeczny. Jak ja idę szukać pracy w browarach, to trudno, żebym mówił o tym, że chcę pracować w fabryce tekstylnej, albo żebym pomylił te dwie firmy. To właśnie jest albo głupota – albo arogancja.

Jak Pan sądzi, z czego to wynika?

Ci ludzie są fatalnie przygotowani od strony uczelni, niestety w ogóle nie zwracają uwagi na coś takiego, co się nazywa poruszaniem po rynku pracy w takim najbardziej ogólnym znaczeniu tego słowa. To przedmiot, który jest kompletnie zaniedbany, nie ma go nigdzie, nie tylko na wyższych uczelniach. A gdybym Pani pokazał ich CV – każde jest inne. A ani ja, ani potencjalny pracodawca nie ma czasu, żeby



szukać we wszystkich możliwych miejscach daty urodzenia kandydata – jest pewien obowiązujący standard i trzeba się go trzymać, choćby ściągnąć z internetu. Absolwent wyższej uczelni powinien ten standard znać...

Inna sprawa, naprawdę tragiczna: studenci i absolwenci Akademii Ekonomicznej nie wiedzą, że mają u siebie doskonałą organizację, która się nazywa AIESEC, która może im pomóc w praktykach, czy znaleźć staż. Tam jest świetnie działające Biuro Karier, z którym zresztą mamy podpisaną umowę. Tam można się nauczyć, jak się pisze CV, jak prowadzić rozmowę z pracodawcą – ale oni nie wiedzą, co to jest AIESEC! I to prawdziwy dramat, bo to taka organizacja, której trudno nie zauważyć.

Może wychodzą z założenia, że organizacja powinna przyjść do nich, a nie oni do niej...

To już ich problem. Natomiast warto, żeby zrozumieć, że bez pomocy to oni mogą nie mieć pracy, nie organizacja... A mamy cały czas bardzo trudną sytuację na rynku i choć bezrobocie w najmniejszym stopniu dotyczy akurat absolwentów szkół wyższych, to jednak cały czas jest...

Ale zdarzają się też sytuacje, kiedy to absolwenci wyższych uczelni, już ze stażem pracy i doświadczeniem zawodowym nie mogą znaleźć zatrudnienia. I twierdzą, że to paradoksalnie właśnie dlatego, że za dużo umieją, bo z tego powodu są niewygodną konkurencją dla dotychczasowych pracowników, a nawet i szefów firmy, którzy z tych względów po prostu nie przyjmują ich do pracy... Taka sytuacja zdarzyła się dziewczynie, która przez kilka lat pracowała jako główna księgowa dużej firmy. Firma upadła – a dziewczyna mimo świetnych referencji i znajomości kilku języków obcych przez ponad rok nie mogła znaleźć pracy.

To jest dla mnie absolutnie niezrozumiałe. Ja sam szukałem przez dwa tygodnie młodych ludzi, którzy mieliby chociaż troszeczkę stażu nawet takiego studenckiego na stanowisku głównej księgowej lub zastępcy – i nikogo nie mogłem znaleźć. Tu jest jakieś horrendalne nieporozumienie, bo zazwyczaj jak przychodzi do mnie taki absolwent bez pracy i ja go pytam: a co zrobiłeś, żeby znaleźć pracę? To odpowiedź jest spuszczenie głowy. Bo wie pani, jaka jest u nas pierwsza procedura? Szukanie znajomości. W ten sposób powstaje wśród ludzi mit, że nikt nie dostanie pracy bez znajomości.

A tak nie jest?

No właśnie! Jak mi pani Kowalska powie, że ma tu wykształconego człowieka, takiego jak ja szukam i żeby z nim porozmawiać, to jeśli ja będę miał dwóch kandydatów – jednego z tak zwanego polecenia, a drugiego z ulicy, i obaj będą mieli takie same kwalifikacje – kogo by pani wybrała na moim miejscu?

To zależy, jakie miałabym zaufanie do zdolności oceny pani Kowalskiej...

Dokładnie tak, ale potraktujmy jej rekomendację w kategoriach informacji. Nie wiedziałem, że taki człowiek jest, a dzięki niej wiem, i już zgodnie z moimi kryteriami mogę sprawdzić, czy mi odpowiada, czy nie. W ogóle wiem o nim więcej dzięki jej informacjom niż o tym człowieku, który przyszedł do mnie prosto z ulicy i o którym nic nie wiem poza tym, co mogę wyczytać w dokumentach. To nie ma nic wspólnego z kumoterstwem. To chcę bardzo dokładnie podkreślić. I kolejna ważna sprawa: nie wystarczy wysłać setek aplikacji, teraz już wchodzi u nas ten system amerykański, dla pracodawcy ważna jest twarz, to znaczy bezpośredni kontakt z przyszłymi pracownikami, ocena jego reakcji, charakteru, i tak dalej, i tak dalej... Dlatego młody człowiek powinien być coraz bardziej kreatywny i trafić bezpośrednio do takiego właśnie decydenta, a nie tylko czekać na efekt ogłoszeń w gazetach i internecie. Musi pójść do danej firmy, wejść na jej stronę internetową, zobaczyć, czy szukają kogoś do pracy i do jakiego działu, zastanowić się, czy taka praca by mu odpowiadała. Ale trzeba wiedzieć, czego się chce, mieć jakieś pomysły na tę swoją pracę. A muszę Pani powiedzieć, że tak jak jestem dyrektorem Wojewódzkiego Urzędu Pracy już cztery lata, to jeszcze ani razu nie spotkałem się z takim podejściem do szukania pracy... Wszyscy tylko narzekają, że jej nie ma.

Czy Wojewódzki Urząd Pracy prowadzi w takim razie jakieś programy doradcze, które pomagają tym absolwentom znaleźć pracę, skoro nie robią tego ich uczelnie?

Oczywiście! Funkcjonuje u nas Centrum Informacji Zawodowej i Planowania Kariery, które się mieści przy ulicy Grunwaldzkiej 200, gdzie pracują młodzi ludzie po socjologii i psychologii, ale znakomicie przez nas wykształceni, z bogatą praktyką, którzy teraz uczą innych właśnie tego poruszania się po rynku pracy, pisania CV. W Centrum są komputery, można się tego nauczyć i każdy, kto tam przyjdzie, może uzyskać satysfakcjonującą poradę. Mało

tego – my tam prowadzimy takie małe pośrednictwo pracy właśnie dla ludzi z wyższym wykształceniem. Wpisujemy przychodzących chętnych do naszego rejestru i przesyłamy im oferty pracy, jakie do nas trafiają. Co się dzieje dalej – tego już oczywiście nie wiemy, ale skoro dana osoba przestaje się do nas odzywać, przyjmujemy, że znalazła pracę. Muszę powiedzieć, że zdarzają się sytuacje, kiedy to zarejestrowani nie interesują się, czy jakieś oferty dla nich przysły, czy nie...Teraz na przykład mamy mnóstwo ofert dla absolwentów – ale za granicą. I nie ma tu tłumów w oczekiwaniu na tę pracę!

Dlaczego jest tak niewielkie zainteresowanie?

Bo znacznie łatwiej nic nie robić i narzekać niż pójść i walczyć o tę pracę! A wszyscy ci walczący, którzy tu u nas byli, to pracę dostali. Oczywiście, w wielu przypadkach to była okazja – ale takie okazje trafiają się nam cały czas. Przecież absolwenci wyższych uczelni to naprawdę bardzo mały procent wszystkich bezrobotnych, i w praktyce tu brak pracy jest naprawdę niewielki. Proszę sobie wyobrazić, że my od miesiąca szukamy inżyniera do pracy w Grecji na bardzo dobrych warunkach, musi tylko znać angielski. Oferta jest sprawdzona przez nas, firma i umowa są w porządku, pieniądze dobre – i nie ma chętnych!

Skoro jesteście przy pieniądzach: czy zdarza się, że przychodzą do Pana młodzi ludzie, którzy od razu chcieliby zarabiać jakieś ogromne pieniądze, bo jak sądzą, tylko takich są warci?

Zdarzają się, ale wcale nie tak często, jak się uważa. Takie wymagania mają zazwyczaj dzieci osób bardzo dobrze sytuowanych, które są zepsute wysokim kieszonkowym i wtedy to 1200 złotych na dzień dobry to nie jest dla nich żaden pieniąż. A przecież ten młody człowiek poza studiami nic nie potrafi, zdarza się, że w czasie studiów w ogóle nie pracował, nie miał nawet praktyk – czyli żadnego doświadczenia w pracy zawodowej. Tu jest taka prawidłowość, że im kto lepiej sytuowany z domu – tym mniejsze doświadczenie w pracy, bo skoro nie musiał dorabiać w czasie wakacji, to odpoczywał całe trzy miesiące...

Ostatnio tak wiele się mówi o wykorzystywaniu funduszy unijnych w różnych gałęziach gospodarki – czy z tych środków można również pomagać młodym bezrobotnym?

Oczywiście. W ramach jednego z programów Unii, Europejskiego Funduszu Społecznego,

Departament Edukacji w Urzędzie Marszałkowskim będzie odpowiedzialny za program stypendialny dla młodych ludzi uczących się w szkołach ponadgimnazjalnych, ale tylko tych pochodzących z miejscowości liczących do 5 tysięcy mieszkańców. To fantastyczna sprawa dla ludzi pochodzących z najuboższych środowisk, która jak mamy nadzieję, zapewni im jakieś perspektywy. Przecież dla wielu z tych naprawdę zdolnych uczniów barierą są koszty dojazdu do najbliższego miasta, w którym znajduje się taka szkoła i zbyt wcześnie kończą naukę, bo ich na nią nie stać. Ten program już niedługo ruszy. Łada chwila uruchamiamy też taki program Europejskiego Funduszu Społecznego, który będzie się zajmował młodzieżą do 25 roku życia i dotyczy na przykład przekwalifikowań zawodowych. Bo jeśli teraz co roku wypuszcza się po 6 tysięcy marketingowców, to oni nie mają szans na rynku pracy, chociaż ukończyli bardzo dobre studia. Ale jeśli brakuje na rynku innych specjalności, to on może szybko zrobić sobie studia podyplomowe – i na to będą pieniądze. Program dotyczy także osób, które już pracują, ale które jeśli nie zmienią zawodu mogą stracić pracę. To będą naprawdę duże pieniądze – mój urząd będzie dysponował na program Europejskiego Funduszu Społecznego w zakresie zasobów ludzkich powyżej 20 milionów euro przez 2 lata. Bezrobocie tak naprawdę zaczyna się w głowie. Bo jeśli komuś naprawdę chce się pracować, to brak możliwości dojazdu nie będzie problemem – dojedzie rowerem. Przeproszę, że mówię to tak brutalnie i bez ogródek. Niektórzy uznają, że łatwo mi się wymądrzać, bo jeżdżę samochodem. Ale naprawdę zaczyna się w głowie, bo zawsze można znaleźć wytłumaczenie, dlaczego się nie pracuje, zawsze jakichś winnych, albo białych, albo czerwonych, albo za drogi dojazd, albo płacą na stażu tylko 500 złotych i tak dalej. A przecież najważniejsze jest to, czy się chce... Trzeba skłonić ludzi, żeby chcieli się uczyć i na tym skupić wszystkie siły. Trzeba pracować nad rozwojem własnej miejscowości, gminy, powiatu, bo sam inwestor z Poznania w tecze nie przyjedzie. Wtedy będzie i praca.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała Lilia ŁADA
 fot. archiwum WUP

Niezdolny ciężar bytu

Powiniennem usprawiedliwić się, przyjąć odpowiedzialność za tytuł, który na pozór nijak się ma do książki Wiktora Osiatyńskiego „O zbrodniach i karach”. Bo jakże tu prawić o bycie, skoro autor stara się dociec, jak pogodzić można surowe i sprawiedliwe karanie przestępców z troską o ich resocjalizację? Był, jak się wydaje, niewiele ma tu do rzeczy. A jednak...

Osiatyński, uczony, publicysta, człowiek odważny i prawy, zna społeczeństwo jak mało który z jego kolegów – socjologów i politologów. Trudne relacje w codzienności zna z autopsji. Spotykając ludzi to dobrych, to złych, najwięcej zaś zlepionych równomiernie z obu pierwiastków, stara się poznać ich nie w oderwaniu od rzeczywistości, lecz właśnie w relacji z otoczeniem. Książka, którą P.T. Czytelnikom odważam się gorąco polecić, o takim właśnie poznaniu traktuje.

Wiktor Osiatyński po raz pierwszy przemyślał począł o zbrodniach i karach, gdy sąd skazał na kilkuletnie pozbawienie wolności młodych ludzi, którzy okradli jego mieszkanie. Był to – rzecz istotna – ich debiut w krainie przestępstwa. Osiatyńskim – obiektywnie rzecz ujmując ofiarą przestępstwa – wstrząsnęła świadomość, jak bardzo więzienie niszczy przestraszonych młodzieńców, którzy kulili się na ławie oskarżonych. Wówczas po raz pierwszy ważący zaczął w myśli przestępstwo i odpowiedzialność za nie. „O zbrodniach i karach” stanowi efekt tych przemyśleń, zamykający bez wątpienia ważny ich etap.

Książka powstawała w ciągu kilku lat. Składają się na nią rozmowy Osiatyńskiego z ludźmi, których spotykał i którzy wnieśli istotny wkład w rozwiązywanie kwestii przestępczości, bądź też tworzyli programy resocjalizacji. Przeważnie są to Amerykanie: policjanci, prokuratorzy, socjologowie, psychoanalitycy, duchowni. William Bratton, komendant policji nowojorskiej w pierwszym okresie kadencji burmistrza Rudy Giulianiego i Steve Baczynski, prawnik oddelegowany do Polski dla współpracy przy opracowaniu naszej konstytucji i zmianach w kodeksie karnym, mówili o konieczności usprawnienia aparatu ścigania i uproszczeniu procedur śledczych. Pozostali, a wśród nich i niezwykle popularny w swoim środo-

wisku szeryf San Francisco – Michael Hennessy – przedstawiali metody, przy pomocy których udało

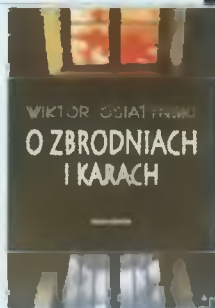
się im osiągnąć sukcesy w procesie resocjalizacji osadzonych w więzieniach.

Rozmowy, jakie autor przeprowadza z ludźmi, których zna i ceni, są obiektywnym obrazem ich myśli i działań. Zapewne, można niektóre przedstawione tu poglądy skwitować wzruszeniem ramion i wskazać na prawidłowość, której Osiatyński nie stara się bagatelizować. Jest bowiem tak, że sposób, w jaki władza odnosi się do kwestii skali i rozmiarów przestępczości zależy w znacznej mierze od przesłanek politycznych, z którymi rządzący muszą się liczyć. W USA wyborcy wpływają na mniej lub bardziej restrykcyjny stosunek wobec przestępstw i ich sprawców. W ślad za tym to wyborcy decydują o rozmiarach poszczególnych programów resocjalizacji, ich funkcjonowaniu, bądź zawieszeniu. Wiktor Osiatyński nie stroni w swoich rozmowach od pytań trudnych; toteż kwestia ograniczania czy zawieszania pożytecznych inicjatyw w więzieniach stanowych i aresztach, jest tu jasno postawiona. Społeczeństwo bowiem skłonne jest ponosić określone ofiary i wyrzeczenia na rzecz ograniczenia przestępczości jedynie wówczas, gdy wymiernym efektem jest wzrost liczby zatrzymanych i osadzonych przestępców. Programy resocjalizacji natomiast wdrażane są wówczas, gdy rządzący potrafią przekonać społeczeństwo o ich zasadności i skuteczności.

Niezdolny ciężar bytu, który wszyscy dźwigamy sprawia, że wobec łamania prawa formułujemy sądy jednoznacznie negatywne. Co więcej, brak w nas wiary, że raz skazany może po odbyciu kary znów stać się wartościowym członkiem społeczeństwa. Warto nabrać wobec takich postaw dystansu czytając mądrą i napisaną piękną polszczyzną książkę Wiktora Osiatyńskiego.

Tomasz DYMACEWSKI

Wiktor Osiatyński, O zbrodniach i karach, Media Rodzina, Poznań 2003



Zapomniane skarbnice wiedzy

Śmierć towarzyszy człowiekowi od zawsze i w swej odmienności jest bliźniaczo podobna do...narodzin. Zarówno jedno, jak i drugie zjawisko jest nieuniknione. Zarówno jedno, jak i drugie jest tylko w małym stopniu przewidywalne. I wreszcie zarówno do narodzin, jak i do śmierci możemy się tylko częściowo przygotować. Wszak na samym końcu (czy jak kto woli: początku) i tak nie mamy większego wpływu na sam proces. Jednak to, co dawniej było częścią naszego życia, przerażającą i okrutną, dziś - głównie za sprawą rozwoju środków masowego przekazu informacji - spowszedniało w sposób wyjątkowo brutalny. Jak na ironię lepszy, i co najważniejsze, szybszy dostęp do informacji nie sprawił, że temat śmierci stał się nam bliższy czy bardziej zrozumiały. W swej nieświadomionej (mam nadzieję) głupocie, nie staramy się przybliżyć do śmierci, zrozumieć jej, zaakceptować. Próbujemy jak najlepiej zakamuflować przed sobą fakt, iż rzeczywiście jesteśmy śmiertelni. Tak. Każdy z nas umrze, prędzej czy później, w sposób bardziej lub mniej tragiczny, ale jest to tak nieuchronne jak jutrzejszy wschód słońca.

Niestety z powodu owej żelaznej kurtyny naszej świadomości, staliśmy się także odizolowani od pokładu bólu, jaki śmierć winna ze sobą nieść. I nie chodzi tylko o sztuczne tłumienie naturalnych uczuć, jakie wyzwolić się w nas winny podczas pogrzebów. Bo ktoś widział, by człowiek po stracie jedynego dziecka ubrał się w kamienną twarz i bez ani jednej łzy znosił cierpienie, tłumiąc je wewnątrz siebie? To nie jedyny problem. Przez ciągły napływ nowych informacji o śmierci, docierających do nas ze wszelkich możliwych źródeł, sami, nie całkiem świadomie, budujemy także mur dla współczucia. Coś co ukazał chociażby Zbi-

gniew Herbert w swym utworze „Pan Cogito czyta gazetę”, dziś zauważyć można w praktycznie każdej osobie. Bez względu na wykształcenie, poziom intelektualny czy kulturowy człowieka, wszyscy jesteśmy powoli zmieniani w bezuczuciowe monstra, niezdolne do okazywania współczucia w obliczu prawdziwych tragedii. Doskonale znany jest wszak mechanizm niezrozumienia tragedii pochłaniającej setki ofiar. Po ataku terrorystycznym na World Trade Center usłyszeć można było wiele okrutnych dowcipów na ten temat, wynikających z braku możliwości pojęcia rozmiaru takiego zdarzenia.

Jest to doprawdy okrutna prawda, ale 1000 ofiar jakiegokolwiek klęski żywiołowej, współczesnemu człowiekowi wydaje się niczym w porównaniu do jednej osoby zabitej na ulicy. Nasze przesycone informacjami o zgonach umysły nie są już w stanie wyobrazić sobie czegoś tak fantastycznego, jak liczby ofiar liczone w setkach. O wiele bardziej przemawia do nas ten jeden zabity turysta, jeden polski żołnierz zastrzelony podczas służby w Iraku.

Jest jeszcze kolejny, bardzo znamieny i sądzę, że znany wszystkim przykład tego typu zmian w uczuciach społeczeństwa względem śmierci. Mowa o cmentarzach.





W dzisiejszych czasach cmentarz przyjął w dużej mierze formę... „fast foodów”. Porównanie to wyjątkowo okrutne, ale co jeszcze straszniejsze – trafne. W dobie tanich, masowo produkowanych nagrobków i tablic wieczystych, nasze cmentarze stały się podobne do nas. Są proste, wszystkie jednakowe, pozbawione prawdziwej duszy i wyjątkowości. I my sami korzystając z ich „dogodności” staliśmy się mało wymagający. Swego czasu strwożyłem się widząc relację ze Stanów Zjednoczonych, gdzie ludzka leniwość i brak głębszego zrozumienia śmierci doprowadziła do tego, iż jeden z cmentarzy zaproponował możliwość odwiedzania grobów bez wychodzenia z samochodu. Niczym w barze szybkiej obsługi klient, podjeżdżając pod wybrany grób, otwiera okno, rzuca niedbale kwiaty i po chwili jedzie. by przypadkiem nie robić zastoju w kolejce.

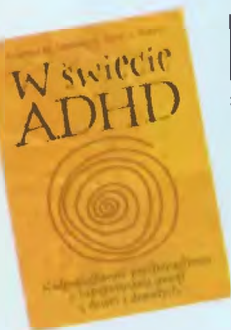
A przecież nie tak dawno temu cmentarz nie był jedynie miejscem, które trzeba odwiedzać dwa razy do roku z poczuciem obowiązku. Było to miejsce pielęgnowane, pełne tajemniczości, niekiedy grozy. Było to także miejsce pełne bezcennej wiedzy, jakiej nie sposób zdobyć w żaden inny sposób. I wreszcie, co być może najważniejsze, dawne miejsca pochówków stanowiły dzieła sztuki. Dzieła dziś zmienione w łatwo przyswajalne, wyzbyte piękna i spuścizny historycznej streszczenia. Owszem, owe streszczenia, niczym swój książkowy odpowiednik spełniają postawione im zadania. Przekazują treść, zapoznają z bohaterami, opisują po trosze akcję, jednak czym są one w porównaniu z całymi dziełami? Jedynie śmieszna, nic nie warta namiastką sztuki.

Dlatego warto być może przejrzeć stare mapy swoich miast i udać się w podróż do dawnych lat. Zwiedzić ukryte w zaroślach stare nagrobki, przyrzeć się pamiątkowym tablicom zwykłych ludzi z czasów, gdy po ich śmierci być może ktoś zapłakał. Warto to zrobić zanim owe zapomniane skarbnice wiedzy znikną na zawsze przykryte kolejną warstwą chwastów.

Szymon ADAMUS
pod kierownictwem doktor Małgorzaty Okupnik



Milowy krok na drodze poznania



Dziecko kręci się niespokojnie.. Dokucza koleżankom i kolegom, szarpie, ciągnie za włosy... Znika gdzieś bez śladu inteligencja i zaangażowanie w proces poznawania. Fizyczny niepokój pozostaje w jawnym kontraście z ospałością i biernością umysłu. Wagary, oszukiwanie rodziców i nauczycieli,

słabe stopnie zatajane przed rodziną, podrabianie i dopisywanie ocen.

Zatem – portret klinicznego lenia, dziecka żadną miarą nie zasługującego na zaufanie. Tak jeszcze do niedawna klasyfikowano wszystkich najmłodszych stwarzających problemy wychowawcze.

Dzisiaj wiadomo już, że znaczna część takich zachowań i postaw ma podłoże chorobowe, to ADHD, czyli Attention Deficit Hyperactivity Disorder – zespół nadpobudliwości psychoruchowej z zaburzeniami koncentracji uwagi. Cierpiący na to schorzenie wywalczyli już sobie – dzięki nieustępliwości swoich rodziców i bliskich – prawo nie tylko do leczenia, ale i w miarę normalnego funkcjonowania w środowisku. ADHD nie jest chorobą uleczalną, można jednak nad nią panować, osłabiając jej negatywne efekty. W lecnictwie i terapii wciąż dominują Stany Zjednoczone Ameryki, gdzie ADHD rzuciło wyzwanie niemal całe społeczeństwo. Wiele dobrego dokonało się także w naszym kraju. Wciąż jednak polskie społeczeństwo skłonne jest upatrywać w znacznej części stanów chorobowych li tylko patologii, czy też złego wpływu rodziny.

Milowym krokiem na drodze rozpoznawania i diagnozowania ADHD w życiu codziennym jest książka amerykańskich psychiatrów – Edwarda M. Hallowella i Johna J. Ratey'a. Obaj znają problematykę doskonale, wieloletnią praktykę wsparli bowiem własnym doświadczeniem. Obaj też wtórnie rozpoznali symptomy choroby u siebie samych. Tym samym stawiają problem w zupełnie nowym świetle: nadpobudliwość psychoruchowa z zaburzeniami uwagi dotyczy nie tylko dzieci i młodzieży, lecz także dorosłych. Okazuje się, że wcześnie

liczna grupa ludzi zakładających własne rodziny, aktywnych zawodowo, nieraz wybijających się w życiu społecznym, cierpi na to schorzenie.

Obarczeni ADHD dorośli nieraz „gubią się” w życiu, podlegają okresom spadku aktywności, trudnym do wytłumaczenia załamaniami, z drugiej strony tajemnicza siła porywa ich z miejsca na miejsce, każąc co pewien czas zmieniać otoczenie i krąg znajomych. Takim ludziom łatwiej funkcjonować, łatwiej uzyskać tolerancję i zrozumienie wśród bliskich i współpracowników, jeśli ich stan zostanie prawidłowo zdiagnozowany, a choroba poddana leczeniu.

„W świecie ADHD” nie jest poradnikiem, jak leczyć się samemu. Zbyt poważna to choroba i zbyt mało o niej jeszcze wiadomo, aby tego rodzaju terapia miała przynieść pozytywny rezultat. Autorom zależało na czym innym: przede wszystkim na uświadomieniu społeczeństwu istnieniu przypadłości i jej skali. Po wtóre, dzięki opisom kilkunastu przypadków rozwoju i diagnozowania ADHD, na przyswojeniu czytelnikom symptomów schorzenia i w konsekwencji – kontakcie z świadomym rzeczy psychiatrą, który wskaże dalszą drogę postępowania. W książce zawarte są też praktyczne wskazania, jak z ADHD można żyć. Jak się już bowiem wyżej rzekło, nie jest to schorzenie, które można całkowicie wyeliminować. Można jedynie osłabić jego szkodliwe działanie nie tylko poprzez stosowanie się do wskazówek prowadzącego lekarza, ale i dzięki usilnej pracy nad sobą.

„Media Rodzina” to oficyna wydawnicza, która od lat, konsekwentnie współpracuje z życia społeczne wskazując na te jego aspekty, które nieświadomie bagatelizujemy, bądź wstydliwie przemilczamy. „W świecie ADHD” okazuje się kolejną ważną pozycją w tej godnej najwyższego szacunku i uznania pracy.

Tomasz DYMACZEWSKI

Edward M. Hallowell, John J. Ratey, *W świecie ADHD. Nadpobudliwość psychoruchowa z zaburzeniami uwagi u dzieci i dorosłych*, Media Rodzina, Poznań 2004

Obiciowa moda Grażyny Hase

Co może mieć wspólnego kanapa lub elegancka sofa z... dziewczyną? Możliwości jest naprawdę wiele, mało kto jednak wpadnie na to, że kanapa i dziewczyna mogą mieć wspólną... tkaninę. Niewiarygodne? A jednak! Udowodniła to swoim ostatnim pokazem najnowszej kolekcji pierwsza dama polskiej mody Grażyna Hase.

Na wybiegu podczas pokazu mody towarzyszącego... targom Meble 2004 w Poznaniu modelki wystąpiły w wieczorowych i popołudniowych kreacjach, a nawet strojach sportowych, uszytych z tkanin typowo obiciowych. I to nie był ani żart, ani mistyfikacja! Gdyby ktoś miał na ten temat wątpliwości – wystarczyło tylko rozejrzeć się po ozdobionej meblami sali, w której odbywał się pokaz: z pewnością wśród wielu kanap czy foteli znalazłby tę obitą identyczną tkaniną, jak prezentowana na modelce... Sama Grażyna Hase nie uważa sycia ubrań z tkanin obiciowych za coś wyjątkowego.

– A dlaczego nie z tkanin obiciowych? Tkanina to tkanina – uważa kreatorka. – Pomyśl na tę kolekcję wyszedł od producenta tkanin i po prostu spodobał mi się. Muszę przyznać, że zmaganie się z tak niezwykłym dla odzieży tworzywem może być naprawdę inspirujące...



Okazało się więc, że z grubych aksamitów, lnu czy obiciowego adamaszku można uszyć fenomenalne kreacje wieczorowe, a nawet typowo sportowe komplety złożone z krótkich spodni z zabawnymi kurtkami. Jednak największy zachwyt wśród publiczności wzbudziły barokowe, kilkuwarstwowe suknie uszyte z kontrastujących tkanin, wykończone również typowo „meblowymi” dodatkami” frędzlami, kokardami używanymi zazwyczaj do podpinania zasłon i kokieterijnymi pomponami. Efekt był oszałamiający – po raz kolejny stało się oczywiste, że dysponując mistrzowskim warsztatem i genialną kreatywnością Grażyny Hase można modę zrobić dosłownie ze wszystkiego...

Lilia ŁADA

Zdjęcia: Radek Rakowski



Plenerowe programowanie na sukces

Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych jest uczelnią, która od początku istnienia daje się poznać jako placówka starająca się jak najwszechstronniej przygotować swych studentów do przyszłej pracy zawodowej. Realizacji tak rozumianego zadania, wielce sprzyja cała gama kół naukowych, oraz zajęć dodatkowych, doskonale uzupełniających program studiów.

Jedną z ciekawszych form pogłębiania przez studentów wiedzy zdobywanej podczas zajęć objętych programem studiów, wydaje się propozycja Koła Naukowego Umiejętności Interpersonalnych, w tym zwłaszcza warsztaty interpersonalne. Uczestnicy Warsztatów otrzymują potwierdzone przez władze uczelni zaświadczenie o zaliczeniu przewidzianych zajęć. Zaświadczenie takie pozwala zorientować się potencjalnym pracodawcom, że starający się o zatrudnienie kandydat ma za sobą nie tylko przygotowanie teoretyczne, ale również praktyczne. A to właśnie może okazać się argumentem przechylającym szalę na korzyść absolwenta WSUS. Warsztaty odbywają się w trakcie roku akademickiego dwukrotnie – zawsze na początku nowego semestru, a więc w pierwszych dniach października i marca, i mają charakter kompatybilny z zagadnieniami omawianymi podczas spotkań Koła

Naukowego Umiejętności Interpersonalnych. Opiekunką Koła oraz prowadzącą Warsztaty jest mgr Magdalena Szumska. Mogą brać w nich udział studenci i absolwenci WSUS, zaś odbywają się one tradycyjnie w Chacie Zbójców w Bucharzewie. Pierwsze zostały zorganizowane w połowie roku 2002, jak dotychczas ostatnie – czwarte – w marcu roku bieżącego.

Bucharzewo to bardzo atrakcyjne miejsce, ale siedmiodniowy pobyt na skraju Puszczy Noteckiej, około 10 km od Chojna, nie ma bynajmniej charakteru rekreacyjnego. „Uczestnicy mają świadomość, że to nie przelewki. Udział w zajęciach jest obowiązkowy i tylko w przypadku poważnego ich traktowania tygodniowa nieobecność na uczelni nie zostanie potraktowana jako nieusprawiedliwiona” – podkreśla M. Szumska.

Harmonogram dnia jest podczas trwania Warsztatów dokładnie wypełniony.

Zajęcia dydaktyczne rozpoczynają się o godzinie 9.00/10.00 i trwają do 13.00/14.00. O 14.00 jest obiad, między 15.00 a 16.00 – godzina jazdy konnej, z której mogą korzystać zarówno osoby początkujące, jak i ci, którzy w siodle trzymają się znakomicie. Również wieczór jest czasem wytężonej pracy. Od 18.00 do 21.00 odbywają się często bardzo gorące dyskusje przy kominku, bądź w stylizowanej na sposób myśliwski sali. Dziennie przynosi to osiem godzin zajęć szkoleniowych, a w sumie – w trakcie 7 dni trwania warsztatów – 56 godzin praktycznych zajęć pogłębiających wiedzę teoretyczną zdobywaną w uczelni. Zajęć pozwalających nabyć umiejętności mogące w przyszłości przydać się w pracy zawodowej.

Program Warsztatów jest niemal w stu procentach programem autorskim Magdaleny Szumskiej. Jego fundament stanowią zagadnienia komunikacji społecznej jako filaru kolejnych umiejętności interpersonalnych. Grupy zagadnień to między innymi realizowana asertywność, mowa ciała, techniki perswazji, umiejętność prowadzenia negocjacji, twórcze myślenie, budowanie automotywacji.

Podkreślić przy tym warto, że w trakcie jednych Warsztatów „na tapecie” znajduje się nie więcej niż pięć zagadnień, których wyboru dokonują w zależności od potrzeb sami uczestnicy. Ponieważ zdarza się, że te same osoby biorą udział w Warsztatach kilkakrotnie, M. Szumska stara się, by tematyka poruszana podczas kolejnych wyjazdów do Bucharzewa nie powtarzała się.

Chętni mogą też przećwiczyć i udoskonalić swe umiejętności trenerskie, przygotowując i prezentując publicznie zadeklarowaną wcześniej tematykę.

Wyrobieniu umiejętności interpersonalnych uczestników sprzyja zresztą nie tylko podejmowana problematyka, ale i samo usytuowanie Bucharzewa, gdzie brak sklepu, pubu i innych pokus cywilizacji rekompensuje sprzyjająca psychicznie otwartości człowieka natura, kameralne grono 15-25 osób stanowiących jedną grupę warsztatową, a nawet koedukacyjne sale.

Położone na skraju Puszczy Noteckiej Bucharzewo oferuje również wiele innych, dodatkowych atrakcji. Zimowe kuligi, jesienne grzybobrania, wiosenne spacer

ścieżkami przyrodniczymi, jeśli tylko uczestnicy wyrażą na nie ochotę, a także bogactwo natury, bliskość rzeki Warty, licznych jezior i lasów oraz koni – wszystko to sprzyja wytężonej pracy. A praca w takich warunkach, w plenerze okazuje się bardzo efektywna. Dlatego naprawdę warto ponieść niezbyt zresztą wysokie, jak na 7 dni pobytu, koszty udziału w Warsztatach. Nie ulega wątpliwości, że to czym zajmuje się podczas spotkań Koło Naukowe Umiejętności Interpersonalnych (zagadnienia podejmowane w trakcie ostatniego semestru to praca zespołowa – role grupowe, dynamika zespołu, programowanie neurolingwistyczne, coaching i mentoring, aktywne mówienie, aktywne słuchanie, pozytywna krytyka w komunikacji interpersonalnej, umiejętność odbierania potrzeb innych ludzi, negocjacje w życiu codziennym, kompetencje dzisiejszego menedżera, wykorzystanie w praktyce umiejętności interpersonalnych, asertywność w komunikacji, kreatywne myślenie w pracy zawodowej oraz organizacja czasu pracy) oraz problematyka podejmowana podczas Warsztatów, to doskonały przykład, że Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych faktycznie jak najwyszczególniej stara się przygotować swych studentów do przyszłej pracy zawodowej i funkcjonowania w społeczeństwie.

Wszystkich chętnych, M. Szumska zaprasza na spotkania Koła Naukowego Umiejętności Interpersonalnych. Naszym zdaniem naprawdę warto skorzystać, bowiem spotkania te realizują jedno z haseł WSUS – zaprogramowanie na sukces jej studentów i absolwentów.

Świadczą o tym zresztą dobitnie opinie tych, którzy w Warsztatach już uczestniczyli. Obecnie – już absolwent WSUS – Marcin Olszewski brał udział we wszystkich dotychczasowych Warsztatach w Bucharzewie. „Gdyby nie było warto tam pojechać, z pewnością bym nie jeździł, a już na pewno nie aż cztery razy. Z całą odpowiedzialnością mogę jednak stwierdzić, że uczestnictwo w Warsztatach naprawdę ma sens. To moim zdaniem fantastyczna sprawa. Można bardzo wiele się dowiedzieć, pogłębić wiedzę zdobytą w trakcie zajęć w uczelni i co chyba najważniejsze – sprawdzić jak tę wiedzę wykorzystać w praktyce. Można poznać lepiej zarówno siebie jak i innych ludzi. Nie do przecenienia jest też

wspaniała atmosfera panująca podczas wyjazdów do Bucharzewa" – powiedział „Pegazowi” M. Olszewski.

W podobnym tonie mówiła o Warsztatach również Grażyna Chojnacka. „O Warsztatach można byłoby opowiadać bardzo długo. Moim zdaniem to rewelacyjny pomysł. To, co robimy w Bucharzewie doskonale pogłębia i uzupełnia wiadomości zdobywane przez studentów podczas zajęć objętych programem studiów. Szczególnie cenne jest to, że zdobytą wiedzę można zweryfikować w praktyce. Program Warsztatów jest skonstruowany tak, by do istotnych wniosków studenci dochodzili sami. To wielka zasługa mgr Magdaleny Szumskiej, że nie wyklada wiedzy jak kawa na lawę. Dzięki temu uczestnicy nabywają w jeszcze większym stopniu umiejętności samodzielnego, logicznego myślenia, umiejętności niezmiernie przydatnych. Podkreślić należy wspaniałą atmosferę tych wyjazdów. Zawsze jest ona fantastyczna, chociaż spotykają się ludzie czasem bardzo różniący się od siebie charakterami. Zarazem, fakt, że w jednym miejscu przez siedem dni stykają się ze sobą osoby tak różne, także sprzyja doskonaleniu umiejętności interpersonalnych. Bardzo liczy się też fakt, że zajęcia prowadzi osoba będąca moim zdaniem naprawdę świetnym fachowcem. Jeśli dodać do tego dodatkowe plusy wynikające z bliskości natury, a zwłaszcza możliwość jazdy konnej – mogę stwierdzić jednoznacznie, że w Warsztatach naprawdę warto uczestniczyć”.

Nam nie wypada więc nic innego jak – na zakończenie – raz jeszcze zaprosić wszystkich chętnych do wyjazdów do Bucharzewa.

Krzysztof MACIEJEWSKI

fot. archiwum

To sprawozdanie można by zacząć słowami Czesława Miłosza z „Przypowieści chasydzkiej”: „Z różnych krajów, prowincji, z różnych wiosek i miast zostaliśmy zaproszeni”. Od kilku lat z inicjatywy ks. dr. Czesława Nowaka przedstawiciele rozproszonej po świecie Polonii oraz badacze zajmujący się problematyką diaspory polskiej spotykają się w różnych miejscach, by się poznać, omówić pewne kwestie, a przede wymienić doświadczenia. Spotkania zorganizowano już w Cannes (2000) i w Barcelonie (2001). Kolejny zjazd - III Światowe Polonijne Spotkanie Intelktualistów, Ludzi Kultury i Sztuki „Polacy w świecie i ich dzieła” odbyło się w październiku 2003 roku w Monachium, gdzie mieści się siedziba Instytutu Badań nad Kulturą Polonijną, powołanego i kierowanego przez ks. dr. Czesława Nowaka. Nie bez znaczenia był fakt, że w Bawarii, przede wszystkim w Monachium, można odnaleźć wiele śladów polskich. W 1992 roku Aleksander Menhard, związany z RWE, wydał własnym sumptem „Przewodnik po polskich śladach w Monachium i okolicach”, przeznaczony głównie dla Polaków mieszkających w Bawarii. Obecnie przygotowuje niemiecką edycję przewodnika, którego trzon stanowić będzie 50 fotografii wszystkich odnalezionych przez niego pamiątek polskich. Bez wątpienia najważniejszym z poloników jest mieszczący się na fasadzie barokowego kościoła teatynów w centrum Monachium kartusz z herbami Bawarii, Saksonii, Polski i Litwy (żona Maksymiliana III Józefa była córką elektora saskiego i polskiego króla Augusta III). W krypcie pod prezbiterium znajdują się groby książąt i królów bawarskich, m.in. Teresy Kunegundy Sobieskiej, żony Maksymiliana Emanuela. Ten sam herb można też zobaczyć w rokokowym Starym Teatrze Rezydencji dynastii Wittelsbachów. W skarbcu ich Rezydencji przechowywana jest natomiast złota czara Radziwiłłów. W maju tego roku z okazji wejścia Polski do Unii Europejskiej Uniwersytet Monachijski zorganizował specjalną wystawę, na której wyeksponowane zostały fotografie Menharda.

Trwający trzy dni zjazd w Monachium był niezwykle intensywny, obfitywał w wiele ciekawych spotkań, roz-

III Światowe Polonijne Spotkanie Intelktualistów, Ludzi Kultury i Sztuki

„Polacy w świecie i ich dzieła”

mów, najważniejsza była jednak sesja naukowa. Wygłoszono podczas niej wiele referatów, pojawiły się trzy zasadnicze wątki tematyczne. Najlichniesze, bardzo cenne i pouczające były wystąpienia przedstawicieli skupisk polonijnych w różnych krajach świata: w Abchazji na Kaukazie (ks. Jacek Jagodziński), w Brazylii (prof. dr Mieczysław Tłaga), w Hiszpanii (mgr Grażyna Opińska) i Katalonii (mgr Iwona Małecka-Sayol), w Kanadzie (dr Jarosław Nowinka), w Luksemburgu (ks. mgr Henryk Kruszewski), w Szwecji (ks. dr Mariusz Chamarczuk), na Ukrainie (ks. bp Stanisław Padewski, ordynariusz charkowsko-zaporoski i mgr Aleksy Suchomłynow), na Zolziu (prof. dr hab. Halina Rusek z Uniwersytetu Śląskiego Filii w Cieszynie). Iwona Małecka przytoczyła ciekawostkę – Katalończycy są nazywani los Polacos, język kataloński wydaje się bowiem Hiszpanom tak trudny jak język polski. Z wielkim zainteresowaniem został przyjęty komunikat Agaty Kalinowskiej-Bouvy z Paryża o działalności APAJTE - Stowarzyszenia Polskich Autorów, Dziennikarzy i Tłumaczy w Europie i sytuacji tych grup zawodowych we Francji.

Osobny blok tematyczny stanowiły przyczynki biograficzne Polaków żyjących poza granicami kraju. Wartościowe było to, że referenci przybliżali sylwetki osób znanych niewielkiemu kręgowi osób. O działalności Polaków we Francji w zakresie nauk kościelnych mówił ks. dr Józef Grzywaczewski z Paryża, ks. dr Adam Romejko z Austrii – o ks. Józefie Niewiadomskim,

współtwórcy teologii dramatycznej na Uniwersytecie w Innsbrucku, ks. prof. dr Herkulan Wróbel z Argentyny - o tamtejszych duchownych: księdzu Andrzeju Gawędz kim i o. Andrzeju Smoleniu. Naczelnik Wydziału Europy Środkowej i Południowo-Wschodniej MSZ przybliżył postać dr. Ludwika Biskupskiego działającego w Turcji. Polscy badacze z Lublina i Krakowa przedstawili słuchaczom kilka fascynujących biografii polonijnych. Prof. dr hab. Edward Olszewski (UMCS) przypomniał o zapomnianym filomacie Józefie Kowalewskim. W uznaniu wybitnych osiągnięć naukowych (opracował trzytomowy słownik mongolsko-rosyjsko-francuski) ten niedysiejszy skazaniec został rektorem Uniwersytetu Kazańskiego. Prof. dr hab. Michał Śliwa (Akademia Pedagogiczna w Krakowie) mówił o pierwszym emigrancie polskim we Francji – Bogdanie Teodorze Jańskim. Dr Elżbieta Michalik (UMCS) przybliżyła dwie sylwetki powojennych emigrantów w Szwecji - Adama Heymowskiego, bibliotekarza szwedzkiej rodziny królewskiej, i Czesława Stani, grawera króla Szwecji. Prof. dr hab. Henryk Żaliński z Akademii Pedagogicznej w Krakowie poinformował, że historycy skupieni w Pracowni Biografistycznej w tamtejszym Instytucie Historii opracowują biogramy, które zostaną włączone do „Słownika biograficznego Polonii”, wydanego staraniem Instytutu Biografistyki Polonijnej w Paryżu. Działanie to świadczy o żywym zainteresowaniu polskich naukowców sprawami Polonii. Doniosłym dziełem leksykograficz-

nym jest również opracowany przez dr Marię Kalczyńską (PIN – Instytut Śląski w Opolu) „Polsko-niemiecki leksykon biograficzny. Ludzie polskiej książki i prasy w Niemczech (koniec XX wieku)”, prezentowany także w Monachium. Na sesji dr Kalczyńska wygłosiła referat na temat: „Wilnianie w Niemczech. Ich działalność twórcza i naukowa”. Orędowna, by kolejny Zjazd Polonii zorganizować w Wilnie.

Kilka referatów poświęconych było roli sportu w życiu emigracji. Cykl ten przygotowali badacze Instytutu Kultury Fizycznej w Gorzowie Wielkopolskim. Prof. dr hab. Bernard Woltmann przedstawił rozwój sokołstwa polonijnego (ruchu gimnastycznego na obczyźnie), dr hab. Tomasz Jurek mówił o światowych sejmikach działaczy polonijnych Polskiego Komitetu Olimpijskiego, dr hab. Leonard Nowak natomiast – o Polonijnych Igrzyskach Sportowych (1934-2003). Sportu dotyczył też referat dr Małgorzaty Okupnik (WSUS) na temat: „Polacy poza Polską we wspomnieniach żeglarki Krystyny Chojnowskiej-Liskiewicz”. Chojnowska jako pierwsza kobieta w latach 1976-1978 w samotnym rejsie opłynęła glob.

Prof. dr hab. Tadeusz Radzik (UMCS) w znakomitym podsumowaniu sesji zauważył, że diaspora polska trwa na emigracji za sprawą trzech czynników: języka, kultury i wiary. Podkreślił, jak ważną rolę na obczyźnie pełni Kościół katolicki. Polskie parafie, podobnie jak w przeszłości, tworzą podstawowe struktury polonijne, ich funkcja nie sprowadza się jedynie do duszpasterstwa, obejmuje również edukację (szkółki polskie), upowszechnianie kultury polskiej, niesienie pomocy najbardziej potrzebującym emigrantom.

Organizatorzy, ks. Czesław Nowak i jego asystentki – Elżbieta Kolakow i Zofia Kuczer, zadbali, by pobyt w Monachium był urozmaicony. Spotkanie uświetnił uroczysty koncert z okazji 25. rocznicy pontyfikatu papieża Jana Pawła II. Przed rozpoczęciem części artystycznej ks. abp Szczepean Wesoły, delegat Prymasa Polski dla Duszpasterstwa Emigracji, otrzymał „Złoty Laur Polonii”. Owa statuetka, nawiązująca kształtem do pomnika Anioła Pokoju w Monachium, jest przyznawana od 2003 roku za szczególne zasługi dla Polonii. W monumentalnej auli Uniwersytetu Monachijskiego wystąpili młodzi utalentowani

artyści: Joanna Liberadzka (harfa), Łukasz Długosz (flet), Dariusz Borowiec (fortepian), Justyna Maria Estuko Piękoś (fortepian i skrzypce). Na zakończenie niezwykle przejmująco zabrzmiał Polonez As Dur op 53 Fryderyka Chopina w wykonaniu Wiesława Piękosia, znanego pianisty, od ponad 20 lat mieszkającego w Niemczech. Koncert był transmitowany przez TV Polonia.

Uczestnicy Spotkania zgodnie podkreślali, że plonem sesji powinna być książka – tom mieszczący teksty referatów wygłoszonych w Monachium i wcześniej w Barcelonie. Wśród nich ma się znaleźć tekst przedwcześnie zmarłej prof. dr hab. Urszuli Kaczmarek, wybitnej badaczki zajmującej się problematyką polonijną w takich krajach jak Bułgaria, Rumunia, Węgry. Jej nazwisko było wiele razy przywoływane w Monachium, wielu ubolewało nad tym, że na sesji zabrakło głosu na temat skupisk polonijnych Europy Środkowej... Ks. Nowak ma już pomysł na okładkę tej publikacji. W sali należącej do kościoła św. Moniki, przy której działa polska parafia i w której toczyły się obrady, wisiał okolicznościowy plakat namalowany przez mieszkającą w Monachium artystkę Darię Nadolską. Barwne plamy symbolizowały kontynenty, na których w rozproszeniu żyją, tworzą, nauczają, pełnią posługę duszpasterską Polacy. Kontynenty te w czasie trwania III Światowego Polonijnego Spotkania Intelktualistów, Ludzi Kultury i Sztuki w Monachium zdawały się być tak blisko...

Małgorzata OKUPNIK

Razem w zjednoczonej Europie

Estonia zawsze cieszyła się zainteresowaniem Polaków, a Polska Estończyków. Jest tak i teraz gdy oba kraje od 1 maja znalazły się w Unii Europejskiej. Wydarzeniem poprzedzającym ten ważny moment w życiu obu państw były w lutym tego roku Dni Estonii w Poznaniu. Zorganizowały je Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych razem z Wojwodą Wielkopolskim.

Będziemy mówić po estońsku?

Ich pomysł zrodził się stąd, że od dłuższego czasu poznańska uczelnia zamierza rozwijać kontakty z Republiką Estonii. Stara się m.in. o nawiązanie kontaktów ze słynnym Uniwersytetem w Tartu. W estońskim świącie uczestniczył ambasador Estonii w Polsce Aivo Orav z małżonką. Spotkał się On z członkami Wielkopolskiego Klubu Kapitału. Zwiedził Poznań i Kórnik. Przyjęty został też przez rektora Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza Stanisława Lorenca. Omówiono możliwość otwarcia na UAM kierunku filologia estońska. Pierwszym krokiem w tym kierunku mogło być uruchomienie w Poznaniu lektoratu języka estońskiego. W Urzędzie Wojewódzkim wygłosił otwarty wykład o swym kraju. W holu Urzędu Wojewódzkim ambasador Orav otworzył wystawę „Wybrzeża Estonii” Prezentowane były na niej 44 prace znanego estońskiego reżysera, operatora filmowego i fotografa Arvo Iho. Warto wiedzieć, że wystawa ta po raz pierwszy była prezentowana w 1999 roku w Pekinie. Potem obejrzel ją m.in. mieszkańcy Wysp Alandzkich. W Poznaniu towarzyszyła jej wystawa „Pieniądze Estonii”.

Gospodarka w dobie zmian

O obroty handlowe pomiędzy Polską a Estonią wynoszą 100 mln dolarów. – Na razie Polacy cztery razy więcej sprzedają niż kupują – mówił ambasador Orav podczas spotkania z członkami WKK. Spotkanie to było także okazją do bliższego poznania Estonii.

Kraj ten zamieszkuje tylko 1,4 mln mieszkańców, a więc mniej niż niejedno polskie województwo. Jego linia brzegowa jest jednak osiem razy dłuższa niż linia brzegowa Polski.

Spod okupacji sowieckiej Estonia uwolniła się w roku 1991. To był bardzo trudny rok. W sklepach były pustki. Nie było żywności, ani benzyny. Wszystko dlatego, że Federacja Rosyjska wprowadziła blokadę Estonii. Teraz jednak Estończycy mogą dziękować Federacji Rosyjskiej za blokadę, bo zmusiło to tamtejszych biznesmanów do nawiązywania kontaktów z przedsiębiorcami w innych krajach – mówił Aivo Orav.

Wybory parlamentarne w 1992 roku wygrała młoda generacja. Uczyli się na podreęcznikach liberalnego ekonomisty amerykańskiego Friedmanna. Jeszcze w tym samym roku rozpoczęły się reformy. Najpierw walutowa: 1 marka niemiecka miała wtedy wartość 8 koron estońskich. Teraz 1 euro to 15,6464 korony. Kurs wymiany może zmienić jedynie parlament.

Druga reforma to zwrot własności ziemskich tym, którzy posiadali jakąkolwiek własność przed II wojną światową. Można było mieszkać w Australii, ale miało się automatycznie prawo do odzyskania dawnych posiadłości.

Trzecią reformą była prywatyzacja. Poszła tak sprawnie, że dwa lata temu zlikwidowano. Urząd do spraw prywatyzacji.

Od 1993 roku obowiązuje prawo dzięki, któremu obywatele innych krajów mogą swobodnie nabywać ziemię. Najczęściej obszary wzdłuż linii brzegowej kupują Szwedzi i Finowie. To ważne, bo spore obszary kraju są niezamieszkałe.

W Estonii obowiązuje podatek liniowy wysokości 26 procent. W 1992 roku zniesiono wszelkie bariery celne. Dzięki temu Estonia to dziś jeden z najbardziej liberalnych krajów Europy, co często dziwi przybyszów z Unii Europejskiej.

Wiele wskazuje na to, że już wkrótce Dni Estonii zaowocują kolejnymi wspólnymi projektami.

MAZ

Przeciw sobie

Światową literaturę, zwłaszcza zaś opowieści powstałe pod koniec XIX i w początkach XX stulecia zaludniają rzesze bohaterów zbuntowanych. Czasem obiektem ich niechęci staje się społeczeństwo, którego nie akceptują. W innych sytuacjach bunt i sprzeciw wobec rzeczywistości nie dają się jednoznacznie zakwalifikować. Taką właśnie buntowniczkę bez powodu odnajdujemy wbrew współczesnym literackim trendom w bohaterce najnowszej powieści Joyce Carol Oates.

Wywodząca się z biednej rodziny uzdolniona absolwentka szkoły średniej w collegu wywołuje skandal najpierw wchodząc w konflikt z opiekunką akademika, później afiszując się związkiem z czarnoskórym doktorantem. Dziś nie byłoby w tym nic dziwnego, przeciwnie – tego rodzaju znajomość znalazłaby wielu entuzjastów chwalcących demokrację młodej osoby. Autorka wszakże umieściła akcję swojej opowieści w początkach lat 60. ubiegłego wieku, zatem w czasach, gdy problemy rasowe budziły w Stanach Zjednoczonych szczególnie emocje.

Wewnętrzny monolog bohaterki „Zabiorę cię tam” odkrywa przed nami bogaty świat doznań młodej, zagubionej w niełatwej rzeczywistości, nieśmiałej i nieufnej wobec jakiegokolwiek otwartości młodej istoty. Niemiecka tradycja przenikająca jej dom rodzinny nakazywała dystans nawet wobec najbliższych. Uczuć nie uzwętrzniało się, ani nawet nie zdradzało. Utrata ojca i luźny kontakt ze starszymi braćmi, którzy znacznie wcześniej usamodzielnili się sprawili, że bohaterka opowieści Oates łączy ku osobowościom ocenianym przez nią jako silne, poszukując w nich wszakże bardziej autorytetu niżeli ciepła. Zarazem pragnie, aby wybrany wzorzec okazał się ideałem pod każdym względem. Zawiedziona czy też odrzucona, planuje zemstę połączoną z samounicestwieniem.

Bunt, niezgoda na rzeczywistość stanowi naturalny element ludzkich poszukiwań własnej osobowości. Zazwyczaj nie chodzi tu o osiągnięcie ideału, bardziej znalezienie swego miejsca na ziemi. W trakcie owych poszukiwań niszczymy czasem

bądź ranimy osoby bliższe sobie i życzliwe, częstokroć nie mając o tym nawet pojęcia. Joyce Carol Oates nie osądza swojej bohaterki, ani też jej nie usprawiedliwia. Pragnie bez emocji przedstawić



naszej ocenie osobowość trudną, silnie zaangażowaną w wewnętrzne przeżycia, bywa – naiwną w ocenie innych, ale – co także często spotykane – i siebie samej.

Autodestrukcja to dotkliwa, lecz nie unikniona cena, jaką przychodzi płacić nam wszystkim za nabywanie doświadczenia i odnajdywanie swego miejsca wśród innych. Bunt jest w tych warunkach rzeczą naturalną. Pomaga chronić swoje wnętrze. Z drugiej strony, literatura przełomu stuleci – co zaznaczyłem na wstępie – stara się od tej trudnej problematyce umykać i nieczęsto ryzykuje ukazaniem złożonej i społecznie wyobcowanej osobowości. A tak jest właśnie bohaterka „Zabiorę cię tam”.

Końcowe sceny książki, perspektywa, z której opowiadane są wszystkie doznania bohaterki, zdają się wskazywać, że czas przyniósł złagodzenie buntu i akceptację własnej osobowości. Jednak nie bez poniesienia kosztów. Ceną, jaką musiały zapłacić młoda dziewczyna wchodząc w dorosłość i odpowiedzialność okazała się wewnętrzna emigracja, ucieczka w głąb siebie. Sukcesem stało się to, że wbrew strachom i niepewności, tam właśnie, wewnątrz starannie zbudowanego kokonu znalazła spokój i zgodę na niezależność. Oto jeszcze jedna prawda, która płynie z tej mądrej i skłaniającej do refleksji opowieści.

Tomasz DYMACEWSKI

Joyce Carol Oates, *Zabiorę cię tam*. Seria: Jej portret, Dom Wydawniczy REBIS, Poznań 2004



Michała Gorstkina Wywiórskiego Powrót do Wielkopolski

Był nieustrudzonym piewcą wielkopolskiej przyrody przełomu XIX i XX wieku – i właśnie w tym regionie był wyjątkowo ceniony i hołubiony. W wielu tutejszych ziemiańskich domach czekał na niego stałe własny pokój, a jego odwiedziny uważano za zaszczyt. Jednak historia nie była dla Michała Gorstkina Wywiórskiego – bo o nim mowa – łaskawa i malarz mimo ogromnego dorobku poszedł w zapomnienie. Dziś poza historykami sztuki pamiętaliby o nim jedynie ci, którzy jego prace odziedziczyli po dziadkach i pradziadkach – gdyby nie wspomniała wystawa prac tego malarza w poznańskim Centrum Kultury „Zamek”. Ona przywróciła Wywiórskiego Wielkopolsce.

Do wystawy doszło dzięki współpracy „Zamku” z Fundacją Forum Kraków – organizacją, która zgodnie z zamierzeniem jej twórców jest „artystyczną, kulturalną i twórczą platformą dla wielojęzycznego obszaru kulturowego Europy”. – Wszystko zaczęło się od tego, że jeden z przyjaciół Thomasa Gamperla, fundatora fundacji, kupił przypadkiem kilka obrazów Gorstkina Wywiórskiego i zainteresował go ten malarz. Zaczął szukać kolejnych prac – i tak powstała ta kolekcja – wyjaśnia Izabela Kowalewska, prezes Fundacji Kraków. – A ponieważ malarz był związany z Wielkopolską – zaczęliśmy poszukiwać możliwości pokazania jego prac właśnie tutaj. Dzięki Centrum Kultury Zamek udało się ten pomysł zrealizować.

Wyjątkowy malarz...

Jak bardzo zapomniano Wywiórskiego w Wielkopolsce świadczyć może fakt, że brakuje zupełnie prac poświęconych jego twórczości, co niezwykle utrudnia datowanie jego dzieł. Wywiórski nie miał zwyczaju datowania swoich obrazów.

– Sama inwentaryzacja i badanie życia artysty trwało kilkanaście miesięcy – opowiada Maria Gołąb, kurator wystawy. – To bardzo ciekawa postać – artysta znany z pewnością kolekcjonerom, zwłaszcza tym, którzy interesują się sztuką z kręgu Monachium lat 70 i 80 końca XIX wieku. Nie zna go natomiast zupełnie szersza publiczność, bo jego prace nie były pokazywane w większych galeriach czy muzeach, czasami tylko można było obejrzeć jego pojedyncze obrazy. Ale tak naprawdę to malarz pozostający na marginesie zainteresowania historyków sztuki – jego twórczość nadal czeka na opracowanie w tym najbardziej podstawowym zakresie – i być może ta wystawa będzie impulsem do takich działań. Wprawdzie właśnie w Poznaniu w latach 70- tych powstała już praca magisterska w Instytucie Historii Sztuki poświęcona twórczości Wywiórskiego, ale zajmowała się ona tylko wielkopolskimi wątkami i motywami jego twórczości.

Był to malarz rzeczywiście niezwykle związany z naszym regionem. Od połowy lat 90 do pierwszej wojny światowej większość czasu spędzał tutaj, jak o tym świadczą pamiątki z epoki. Był tu jedną z bardziej znaczących postaci życia artystycznego, malarzem o niezwyklej wręcz aktywności, nieustraszoną w malowaniu. Cieszył się także

niekłamanym uznaniem finansowym, i to za życia, a to już rzadkość. Wszystkie jego obrazy były natychmiast kupowane, zdobywał wiele złotych medali na wystawach w salach monachijskich i berlińskich.

...wyjątkowa kolekcja

Jest ona o tyle ciekawa, że zawiera prace zupełnie nieznane w Polsce, ponieważ cała została zakupiona za granicą. Liczy ona 150 prac, pejzaży i pejzażowych studiów i pozwala w pełni docenić kunszt artysty i różnorodność jego pejzaży, a także zauważyć oryginalne, nowatorskie rozwiązania, które wprowadził do swoich prac. Nawet w szkicach daje się odczuć ogromna ekspresja i siła wyrazu i przede wszystkim – niesamowita, wręcz „reporterska” łatwość przenoszenia pejzażu na płótno, chęć zapisania jakiegoś „tu i teraz”. – Był realistą, ale realista ewoluującym – wyjaśnia Maria Gołąb. – Wszystkie metody i sposoby modernizujące podejście do sztuki, jakie pojawiały się na przestrzeni lat, znajdowały odbicie w jego pracach.

Wywiórskiemu nie był obcy także impresjonizm – świadczy o tym niezwykle umiejętne operowanie barwą i wykorzystywanie jej jako głównego nośnika emocji i nastrojów malarza. Zwraca uwagę też wyjątkowo subtelne odczuwanie kolorów – chyba nikt nie był tak wrażliwy na wszystkie odcienie ciemniejszego nieba z nadpływającymi zwalami malowniczych chmur...

Oglądając tę wystawę nie sposób się nie zachwycić mistrzostwem malarza i jego niespożytym zachwytem otaczającym go światem, pięknem natury w jej najprostszych przejawach: kępie drzew nad strumieniem, leśnej drodze o intensywnie pomarańczowej barwie, wiejskich chatkach czy płynących leniwie chmurach, różowiących się w blasku zachodzącego słońca. To widoki z wielkopolskich pól, lasów, tutejszych wsi i miast, a nawet fragmenty tutejszej architektury ogrodowej. To trochę jak odkrycie na nowo tej Wielkopolski, której już nie ma, która wydawałoby się – na zawsze odeszła w przeszłość. Dzięki Wywiórskiemu nagle okazuje się, że odeszła nie do końca – na szczęście. Szkoda tylko, że takiego malarza, który jak nikt inny upamiętnił Wielkopolskę trzeba było ponownie odkryć – no cóż, cudze chwalicie...

Lilia ŁADA

Mecenat i geniusze

Muzeum Narodowe Rolnictwa i Przemysłu Rolno-Spożywczego w Szreniawie oraz Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych były organizatorami konferencji naukowej „Mecenat prywatny szansa czy konieczność?” Obyła się ona 9 września w Muzeum Łowiectwa Wielkopolskiego w Uzarzewie. Zbiegła się z obchodami 40-lecia Muzeum Rolnictwa oraz przekazaniem przez Teresę i Adama Smorawińskich pawilonu z trofeami łowieckimi tegoż znanego rajdowca, myśliwego i mecenasa kultury.

Witając gości dyrektor Muzeum Jan Maćkowiak nazwał ten moment wydarzeniem niezwykłym. Adam Smorawiński był gościem honorowym konferencji. Wśród gości spotkania były także Grażyna Kulczyk i Anna Voelkel.

Popyt, podaż, produkt

Rektor WSUS prof. Michał Iwaszkiewicz podkreślił, że Wielkopolska ma tradycję mecenatu. Każda epoka miała swoich mecenasów. Jeżeli nie zaczniemy inaczej funkcjonować, to któregoś dnia okaże się, że starczy na jedno muzeum w Uzarzewie, jedną operę w Poznaniu, jeden teatr dramatyczny. Dlatego temat konferencji jest nieprzypadkowy. Czy można jednak mówić o kulturze językiem ekonomicznym? – pytał rektor Iwaszkiewicz. Jeżeli jest popyt, jeśli jest podaż i produkt to zawsze mamy do czynienia z rynkiem z tym, że rynek kultury różni się od wszystkich innych rynków z kilku powodów. Popyt określony jest potrzebami wynikającymi z sytuacji ekonomicznej, społecznej i cywilizacyjnej. W przypadku kultury popyt można sprowadzić do jednej funkcji nazywanej kompetencją kulturową. To zdolność ludzi do percepcji kultury. Tymczasem w Polsce postępuje proces degradacji kompetencji kulturowej. Trwa on od bardzo wielu lat. To nie jest kwestia ani ostatnich 15 lat, ani ostatnich 50 lat. Ten proces zaczął się w okresie II wojny światowej. Kompetencja kulturowa zależy od startowego poziomu cywilizacyjnego. Po II Wojnie Światowej nastąpiło zniszczenie kanonu kultury inteligentnej. Raz niszczył go okupant, a drugi raz realny socjalizm. W rezultacie elementy wpływające na poziom kompetencji kulturowej były niespójne i systematycznie zmieniało stosunek społeczeństwa do kultury. Uczestnictwo w kulturze miasta Poznania potwierdziło zaledwie pięć procent respondentów.



Od lewej Grażyna Kulczyk, prof. Michał Iwaszkiewicz i prof. Stanisław Sierpowski

Można powiedzieć, że badania nie świadczą o niczym, ale trzeba zwrócić uwagę, że te same osoby przychodzą na premiery i wernisaże. W kulturze jednak podaż zależy od ilości geniuszy. Twórców i odtwórców. Wiele z nich nie zaistnieje. Historia zna przykłady odkrywania po latach wartości tworzonych dzieł. Mamy fenomen „Ich Troje” czy różnych mijających mód, które absolutnie nie są elementem cywilizacyjnym.

Nie ma mecenatu państwowego

Nie ma czegoś takiego jak mecenat państwowy. Takiego pojęcia nie wolno używać. Państwo ma, bowiem konstytucyjny obowiązek świadczenia na rzecz kultury. Dlatego jeśli słyszymy o mecenacie państwowym wyłączmy telewizor, włączmy radio. Mecenat może być prezydenta, premiera, ale nie państwa. Dlatego mecenat prywatny jest zarówno szansą jak i koniecznością. Chcąc uratować polską kulturę trzeba równolegle zadbać o stałą odbudowę kompetencji kultury, odbudować mikroelity, małego miasteczka, gminy, środowiska. W odbudowywaniu potrzeb ważną rolę odgrywają też tradycje rodzinne. Tego nie załatwi żaden minister ani marszałek.

Mecenas był pierwszy

Dyrektor Biblioteki Kórnickiej prof. Stanisław Sierpowski przedstawił rys historyczny mecenatu prywatnego. Przypomniat, że trwałe miejsce w dziejach cywilizacji zajął arystokrata rzymski z I w p.n.e. Cilnius Gaius Mecenasa. Był szarą eminencją Oktawiana Augusta, ale zasłynął jako wielbiciel i protektor sztuki, a zwłaszcza literatury.

Zaczęło się od Dobrawy

O mecenacie prywatnym w polskich realiach mówił też dyrektor Teatru Wielkiego w Poznaniu Sławomir Pietras. Zauważył on, że tylko 5 procent społeczeństwa polskiego korzysta z dóbr kultury. Podkreślił, że pierwszymi mecenasami sztuki w Polsce byli książeczka Dobrawa i wojewoda Sieciech. Pietras także potwierdził, że mecenat państwowy najbardziej rozwinął się w okresie Polski Ludowej.

Identyfikacja z firmą

O formule prawnej mecenatu mówił prof. Wojciech Kowalski z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Stwierdził on, że poszczególne instytucje często wspierają kulturę, aby uzyskać efekt „corporate identity” czyli identyfikowania się odbiorców tej kultury z firmą będącą mecenasem. Wspieraniu kultury przez mecenasów prywatnych w wielu krajach sprzyjały nie tylko stowarzyszenia, ale i słabo jeszcze rozpowszechnione w Polsce trusty. Mówiąc o mecenacie prywatnym w państwach europejskich Anna Wieczorek zauważyła, że po II wojnie światowej ekspansji państwa opiekuńczego w krajach demokratycznych o gospodarce rynkowej towarzyszył wzrost finansowania publicznego w takich dziedzinach jak m.in. kultura. Narastający począwszy od lat 80. ubiegłego stulecia kryzys państwa opiekuńczego, narastające problemy społeczne takie jak bezrobocie czy rosnąca liczba osób uprawnionych do świadczeń emerytalnych spowodowały, że kultura znalazła się na liście dziedzin wytypowanych do „wypchnięcia” zakresu państwa opiekuńczego.

Wszystko na sprzedaż

O mecenasach i sponsoringu mówił dr Mirosław Słowiński, producent „Quo Vadis”. Jego zdaniem słowa mecenasa patron, protektor, promotor, miłośnik sztuki, teatru, filmu, jeszcze znaczą, ale ich ranga zdaje się maleć. Uważa on, że potwierdzeniem tego, iż żyjemy w świecie, w którym wszystko jest na sprzedaż wydaje się kariera słowa sponsoring.

Dyskusja w Uzarzewie była gorąca, bo temat jest bogaty i ciekawy i wiele wskazuje na to, że będzie kontynuowana na kolejnym spotkaniu ludzi zajmującym się mecenatem.

Marek ZARADNIAK

Fot. M. Zaradniak

Walki królewskich drużynników miłościwie nam panującego króla Przemysła II, pieśni i tańce dwórek nadobnej małżonki jego, królowej Ludgardy oraz jadło i napitek ku pokrzepieniu gawiedzi – to były główne atrakcje Imienin Przemysła, jakie w sobotę 17 kwietnia odbyły się przed zamkiem królewskim w Poznaniu. Igrcom patronowała Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych, a hucznej zabawie przyglądał się z królewskiego tronu sam monarcha wraz z małżonką...

Impreza odbywała się po raz pierwszy, a jej pomysłodawcą był Komitet Odbudowy Zamku Królewskiego w Poznaniu – i WSUS. Organizatorzy (pod wodzą senatora Włodzimierza Łęckiego) chcieli w ten sposób uczcić naszego poznańskiego władcę, a jednocześnie rozreklamować akcję odbudowy Zamku Królewskiego w Poznaniu. Nasze miasto jest miastem królewskim, bo było kiedyś stolicą Polski – twierdzą.

Biedny król Przemysław

Festyny takie jak Imieniny Przemysła mają także popularyzować wiedzę o historii naszego regionu. – Przemysław II był takim biednym królem – wyjaśnia senator Łęcki. Mówię to oczywiście żartem, ale przecież został koronowany na króla w Poznaniu w 1295 roku, a w lutym następnego roku skrytobójczo zamordowany, więc panował tylko kilka miesięcy i nie miał okazji obchodzić swoich imienin jako król... Ale był jak najbardziej królem i to naszym poznańskim, który tutaj, na Górze Przemysła, rezydował. Bo o Bolesławie Chrobrym czy Mieszku II można dyskutować, czy mieli swoją stolicę w Gnieźnie czy w Poznaniu, ale co

Imieniny króla

do tego króla nie ma najmniejszych wątpliwości, że tutaj była jego siedziba.

By nikt z imieninowych gości nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości, na scenie i pod sceną mieszczącą się na zboczach zamkowego wzgórza można było obejrzeć sceny z życia codziennego poznajskiej warowni. Król siedzący na tronie, towarzysząca mu królowa i jej dwórki (prywatnie aktorzy Teatru w Gnieźnie) zachęcali wojów do okazania jak największej siły i wytrzymałości w zmaganiach rycerskiego turnieju. Trzeba przyznać, że walki na miecze były niezwykle widowiskowe, a podczas zdobywania murów obronnych przez wroga gorące walki dały się ponieść nawet damy dworu...

Królewskie piwo i nałęczki Ludgardy

Wszyscy, którzy przyszli na Imieniny Przemysła, mieli też wyjątkową okazję kupienia książek poświęconych historii góry zamkowej, a także spróbowania jada, jakim raczył się sam król w czasach swego panowania. Był więc i razowy chleb ze smalszkiem, ogromna pieczona szynka wieprzowa, ciemne piwo, ale największym powodzeniem cieszyły się nałęczki Ludgardy – smakowite ciastka w kształcie warkoczy z drożdżowego ciasta z marmoladą.

- Polecam szczególnie te ciastka, o których tradycja głosi, że Ludgarda za nimi przepadała – zachwalał senator Łęcki. – Warto też moim zdaniem podkreślić, że cała impreza odbywała się siłami społecznymi, to znaczy dzięki dobrej woli i chęciom organizatorów, a nie pieniądзом. Szczególnie jestem pod wrażeniem pracy wyjątkowo ładnych studentek WSUS, które sprzedają tutaj cegiełki i prowadzą losowanie upominków. To właśnie dzięki ich pomocy i wielu innych ludzi ta impreza mogła się udać...

Bardzo ważną częścią festynu były oczywiście kon-

kursy i zabawy dla najmłodszych poznajczyków, podczas których niejednokrotnie okazywało się, że historię swojego miasta znają znacznie lepiej niż ci znacznie od nich starsi... Można też było – jeśli ktoś miał trochę szczęścia – wygrać wspinalny rower, którego fundatorem była Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych. Zdobywca (a właściwie zdobywczyni!) roweru odbierając nagrodę miała bardzo szczęśliwą minę!

Zostań Konfratrem!

Na straganach przed zamkiem nie brakowało cegiełek i certyfikatów: cegiełki to anonimowe darowizny na rzecz odbudowy królewskiego zamku Przemysła w Poznaniu w wysokości 2 i 5 złotych. Certyfikaty natomiast mają już znacznie wyższą wartość: 50, 100, 200 i 500 złotych i są to Certyfikaty Konfratry, czyli przyjaciela Bractwa Zamku Królewskiego. Dotąd – nie tylko oczywiście podczas festynu – Bractwu udało nam się zebrać ponad 300.000 złotych. Może to nie jest zbyt wiele biorąc pod uwagę skalę przedsięwzięcia, ale organizacja otrzymała też gwarancję Stefana Mikołajczaka, marszałka województwa wielkopolskiego, i Ryszarda Grobelnego, prezydenta miasta, że przekażą na budowę po 6 milionów złotych. Sami mają zebrać dodatkowo 3 miliony złotych, co da razem 15 milionów i z pewnością wystarczy na odbudowę zamku.

Lilia ŁADA

Fot. Wojciech Wardejn



Dwa żywioły

Violetty Książkiewicz

Morze Gór” to niezwykle tytuł dla wystawy – a tak właśnie nazwała swoją znana poznańska malarka Violetta Książkiewicz, której prace można było do niedawna podziwiać w „Klaudynówce” Zamku w Kórniku. Standardowo przecież przyjęło się uważać, że morze i góry to dwie skrajności, a jako takie – nie mogą mieć ze sobą nic wspólnego. Ale w wydaniu tej artystki nic nie jest aż tak proste i oczywiste – i nagle można z zachwytem i fascynacją odkryć, jak wiele wspólnego mają te dwa żywioły....

Pomysł był w pewnym sensie oczywisty – śmieje się pani Violetta. - Bo należę do Stowarzyszenia Marynistów Polskich, ale kocham także góry. I chciałam połączyć te dwie rzeczy na swojej wystawie: morze i ukochane Tatry...Góry są mi niezwykle bliskie i przygotowanie wystawy wymagało tylko dokonania wyboru między tymi pracami, które powstały ostatnio. One są takie różne: jest tu i pastel, i rysunek piórkiem, część jest bardziej realistyczna, a część, właśnie rysunek piórkiem – to abstrakcja na temat gór. Nie jestem kolorystką, ale...

Tym, co poza mistrzowskim opanowaniem techniki piórka zachwyca w pracach artystki, jest kolor, chociaż ona sama bardzo broni się przed doczepieniem etykiety kolorystki czy fowistki, bo i tego próbowano.

Ja po prostu bawię się kolorem, podobają mi się to, może to nie jest zbyt modne – teraz się maluje raczej w jednej tonacji – ale uważam, że obraz powinien właśnie operować kolorem, być wesoły i pogodny, bo wtedy nadaje pomieszczeniu, w którym wisi, pozytywną energię – wyjaśnia malarka. – Czarno białe to mogą być rysunki.

Kolorowe jest u Violetty Książkiewicz nawet morze – i znów inne od stereotypowych wyobrażeń nadmorskich pejzaży i

kutrów o zachodzie słońca. Artystka pokazuje te jego uroki, które są ukryte pod zasłoną wody i po które trzeba schodzić głęboko w labirynt raf koralowych, w

inny świat: między delikatne ukwiały, koralowce podobne do egzotycznych kwiatów, a wszystko to w przedziwnej grze barw prześwietlonej słońcem morskiej wody. Prawdziwe rajske ogrody z tą delikatną nutką nierealności, która jest tak charakterystyczna dla podmorskich krajobrazów i którą tak trudno oddać na jakimkolwiek wizerunku...Nic dziwnego

– jedną z pasji Violetty Książkiewicz jest nurkowanie i właśnie dno jest dla niej w morzu najważniejsze i najpiękniejsze.

Te egzotyczne kobiety

Dopiero zakończyła się jedna wystawa, a już w pracowni powstają kolejne prace – tym razem jest to cykl poświęcony kobietom. Kilka z nich już jest gotowych, reszta – dopiero w planach.

Chcę pokazać najróżniejsze kobiety, od egzotycznych piękności z Indonezji po Polki w strojach ludowych – pokazuje malarka. – Zafascynowała mnie nie tylko uroda, ale i te niezwykle malownicze stroje, w których niejednokrotnie każdy element ma znaczenie kultowe, magiczne, a nie tylko zdobnicze. Polskę będzie reprezentowała dziewczyna w stroju góralskim. Znowu te moje góry! A potem zacznę szukać miejsca na pokazanie tych prac, najlepiej tak w okolicach 8 marca...

Lilia ŁADA

Fot. ze zbiorów Violetty Książkiewicz



Nie posiada żadnych odznaczeń, nagród i uprawnień – poza prawem jazdy na wrotki, rower, motocykl, samochód, szybowiec i temu podobne, a w życiu projektował już chyba wszystko: od obudowy urządzeń dla telekomunikacji po... szczoteczki do zębów – to informacje, jakie Ireneusz Szczęch, znany poznański projektant wnętrz i malarz uważa za najważniejsze o sobie. Jego najnowsze obrazy można oglądać w Poznańskiej Galerii Nowej przy ulicy Paderewskiego.



W kręgu szalonego miasteczka

Twórczość artysty cechuje niezwykle przewrotne poczucie humoru, które połączone z warsztatowym mistrzostwem i zmysłem obserwacyjnym autora daje naprawdę niezwykle efekty...

– Kiedy maluję, to naprawdę nie zastanawiam się, o co w tym wszystkim chodzi. Chcę po prostu pokazać w taki abstrakcyjny sposób to, co mi się podoba, co mnie zafrapowało – wyjaśnia Ireneusz Szczęch. – Ale podobają mi się rzeczywiście różne dziwne rzeczy, na przykład złomowisko lokomotyw: takie monumentalne, zardzewiałe mastodonty, które zebrane razem w pozornym beładzie naprawdę robią wrażenie. Maszyneria wypuszczona prosto z fabryki, świeża i wymuskana jest po prostu nudna...

Jednak kiedy ogląda się już gotowy efekt pracy artysty przedstawiony przez niego świat wcale nie wydaje się taki prostolinijny i jednoznaczny. Pod zewnętrzną warstwą mistrzowsko nałożonego koloru i interesującego tematu wyraźnie wyczuwa

się coś jeszcze. Świat przez krzywy pryzmat wesołego miasteczka? Czarny humor rządów klaunów, wielorekiego biurokraty czy surrealizm szalonego pociągu w pędzie dookoła własnej osi i jednocześnie – donikąd? Czego symbolem jest niezwykle autobus z równie niezwykle pasażerami, posadzonymi w nim w bardzo intrygującym porządku?

Ale Ireneusz Szczęch nie daje odpowiedzi na nasuwające się jedno za drugim pytania – czyżby to był również przejaw tego charakterystycznego, przewrotnego poczucia humoru? Na to pytanie oczywiście każdy musi sobie odpowiedzieć sam – ale odkrywanie kolejnych możliwych wersji odpowiedzi jest jedną z najbardziej fascynujących cech prac tego artysty. Mają one tak wiele znaczeń na tak wielu poziomach, że samo poszukiwanie i odnajdywanie ich jest odrębnym rodzajem sztuki...

(el)

fot. Poznańska Galeria Nowa

Sto lat rodziny Stassos



Michael Cunningham zdobył sobie popularność i uznanie jako autor przeniesionych także na ekran „Godzin”. Zdarza się nieraz, że pisarz pozostaje w pamięci czytelnika jedynie dzięki pojedynczej pozycji, tak jednak w przypadku Cunninghama zdarzyć się nie powinno. Jego kolejna książka „Z ciała i z duszy” – jakkolwiek inna od sztandarowych „Godzin” okazuje się dokonaniem nie tylko dojrzałym, ale i intrygującym.

Sporo w tej książce mniej lub bardziej świadomych odwołań do twórczości Gabriela Garcii Márqueza zwłaszcza zaś do najbardziej znaczącego w jego dorobku utworu: „Sto lat samotności”. Cunningham nawiązuje do swego znakomitego kolegi po piórze choćby ramami chronologicznymi swojej opowieści. Bierze ona swój początek w dalekiej Grecji, gdzie w roku 1935 Constantine Stassos w tajemnicy przed rodziną zakłada swój pierwszy własny ogród. Kończąca scena to symboliczny pogrzeb, który jego wnuk Jamal wyprawia swoim bliskim. Jest rok 2035 i rzecz cała nabiera rangi symbolu.

Jak sądzę, Cunningham wprowadził rodzaj prologu i epilogu po to głównie, aby ubrać w swego rodzaju stylową oprawę opowieść, której akcja rozgrywa się właściwie od wczesnych lat 50. aż po rok 1995. Areną wydarzeń i punktem odniesienia są Stany Zjednoczone Ameryki i przemiany tego państwa w ciągu blisko półwiecza. Jest rzeczą ciekawą, że jedynym, który prawdziwie potrafi w miarę się odnaleźć w zawirusze mijających wydarzeń jest stary Constantine Stassos. Sceptyczny, nastawiony na pracę i zarabianie pieniędzy, nawet on miewa chwile słabości. Przede wszystkim jednak nie potrafi zrozumieć i pojąć swoich bliskich, zwłaszcza, że proza życia jemu przynajmniej ostatecznie rację. Oskarżany i odrzucany, przez tych, dla których pracował i budował przyszłość, ale też pragnął kształtować według własnego wzorca, zwrócił się po raz kolejny ku swemu ogrodu.

Ogród – jak pamiętamy – to również ważny element scenarii „Sto lat samotności”. Jednak tropienie śladów plagiatu w książce Cunninghama byłoby zajęciem krzywdzącym wobec pisarza, którego świat ma autentyczne korzenie, postaci są barwne, a ich losy – choć silnie zdeterminowane literacką potrzebą skrótu – autentyczne i wiarygodne. Autor „Z ciała i z duszy” oddaje pokłon i należy hold znakomitemu Marquesowi, sam

jednak konstruuje rzeczywistość w znacznym stopniu odmienną.

Bohaterowie Cunninghama to członkowie jednej rodziny. Mimo grecko – włoskich korzeni są bardzo amerykańscy w swoich reakcjach, postawach i pragnieniach. Rodzina Stassos walczy o swoje prawo do amerykanizacji, choć jej głowa – stary Constantine niezwykle rzadko sięga po argumenty etniczne, a i wtedy tylko, gdy służy to wsparciu jego własnych poglądów. Rychło Stassosowie stają się prawdziwymi Amerykanami i dzielić będą losy całego społeczeństwa, choć dzięki Constantine przypadł im w udziale spory kawałek amerykańskiego tortu.

Dzieje rodziny Stassos czyta się z pasją. Książka ma wszelkie walory współczesnej opowieści amerykańskiej: wartka akcja, nie stroniący od plastyczności a niejednokrotnie drastyczności trend poszczególnych epizodów, zwarta kompozycja, prawdziwe, z życia wzięte dialogi (bardzo dobre tłumaczenie Mai Charkiewicz podkreśla jeszcze tę zaletę) to tylko niektóre elementy wyróżniające in plus powieść Cunninghama.

Zasadniczym zadaniem współczesnej powieści jest jej rola służebna wobec zainteresowań i oczekiwań czytelnika. Mnóstwo książek stara się być zatem „trendy”. Jednak Cunningham – zachowując dbałość o to, aby czytelnika usatysfakcjonować – sięga dalej i głębiej w naszą psychikę. Czujemy doskonale, że pisarz nie traktuje swoich bohaterów jako papierowe postaci. Kocha je, podziwia, często współczuje, lecz nigdy nie pozostaje obojętny. Wraz z nim podziwiamy – wydajemy, że to wybór świadomy – wszystkie te sympatie i wątpliwości. Wspólnie z Cunninghamem dajemy się wciągnąć w obręb życia rodziny Stassos. Ich wzloty i upadki śledzimy nie obojętnie, lecz z niepokojem i współczuciem. Gorąco zachęcam PT Czytelników, aby po tę ze wszech miar godną polecenia książkę sięgnęli koniecznie, dając się porwać jej oryginalności i czarowi.

Tomasz DYMACEWSKI

Michael Cunningham, Z ciała i z duszy, Seria z Salamandrą, Dom Wydawniczy Rebis, Poznań 2004

W starym albumie 3 Pułku



Samolot był z Poznania

Jest taki album dzięki któremu możemy zajrzeć do wnętrza nietypowej fabryki. Jedyne album. Księga 3 Pułku Lotniczego zachowana w jednym egzemplarzu dzięki której możemy przekonać się, że Poznań ma wiele wspólnego z przemysłem lotniczym.

Do księgi tej udało nam się dotrzeć dzięki uprzejmości szefostwa poznańskiego Portu Ławica. Podniszczone okładki chowają w sobie kilkadziesiąt zdjęć z życia i walki na różnych frontach „polskich orłów”. Są tu jednak także fotografie ilustrujące działalność fabryki o nazwie Samolot. Zajrzyjmy do jej wnętrza...

Na koniec wojna

Lotnisko przez lata było miejscem ciekawych wydarzeń. W 1930 roku przyjmowano pilotów awionetek z polski i zagranicy. Powodem był zlot tych maszyn. Na Ławicy w 1932 roku entuzjastycznie witano Żwirkę i Wigurę laureatów międzynarodowych zawodów lotniczych. Stąd startował do lotu do Australii Adam Karpiński i Stanisław Rogalski. Tu lądowali bracia Adamscy po przeleceniu Atlantyku. Te radosne wydarzenia zakończyła wojna. Już 1 września 1939 o świcie nad lotniskiem pojawiły się niemieckie bombowce. Rozpoczęło się zrzucanie bomb na płytę i hangary. Do lotu zdążyło wystartować kilka polskich maszyn. Zaczęła się powietrzna bitwa.



Od pomysłu do licencji

W 1919 roku powstańcom wielkopolskim udało się zdobyć hangary, w których składowane było kilkaset niemieckich samolotów. – Z zapasów tych sformowane zostały 4 eskadry polowe, a w początkach stycznia 1919 roku wysłałem do Warszawy kilkadziesiąt samolotów – pisał w swych wspomnieniach Wiktor Pniewski, dowódca 1 eskadry lotniczej Wielkopolski. To był początek polskiego lotnictwa.

Na tych samolotach szkolono się i walczone w wojnie polsko – bolszewickiej. Spore starty oraz awaryjność sprzętu powodowała, że trzeba było myśleć o nowych maszynach i to nie tylko dla woj-ska. Nie pomogły nawet znaczne zdobycze wojenne. Polskie lotnictwo zarówno woj-skowe jak i cywilne prezentowało się nader skromnie. Sąsiedzi mieli znacznie więcej maszyn i były one bardziej nowoczesne.

Pomysł wybudowania pierwszej w Wielkopolsce fabryki samolotów narodził się na początku lat 20. Jego inicjatorem był porucznik Czesław Wawrzyniak – prezes Związku Lotników Polskich. Budowa zakładu była ogromną szansą na rozwój rodzącej się wówczas komunikacji pasażerskiej oraz możliwość uzyskania zamówień od ministerstwa obrony. Poznań miał wszelkie atuty – wyszkoloną kadrę, zaplecze techniczne, bazę lotniczą oraz świetnych

Szarmancki atak

6 stycznia 1919 roku wielkopolscy powstańcy postanowili pokonać silną załogę niemiecką z zaskoczenia. Nie byłoby w tym nic dziwnego gdyby nie fakt, że na 10 minut przed atakiem (a była wówczas godzina 4.15 w nocy) szarmanckie dowództwo... wysłało na lotnisko delegację z żądaniem bezwzględnej kapitulacji. Niemcy chcieli walczyć grożąc wysadzeniem Ławicy i pobliskiego Fortu VIII (było w nim zmagazynowane kilkaset bomb lotniczych) Trzy kompanie pod wodzą ppłk Andrzeja Kopy bitwę wygrały. W hangarach znaleziono ogromną ilość sprzętu lotniczego, a w hangarze Zepelina przy obecnej Serbskiej kilkaset samolotów.

Najstarsze lotnisko

Lotnisko na Ławicy jest najstarszym cywilnym lotniskiem w Polsce. Otwarto je w 1913 roku głównie z funduszy niemieckich. To Niemcy również zebrali pieniądze na pierwszy samolot z nazwą „Posen” na burcie, a później rozpisali zbiórke na kolejne. Jej efektem były dwa samoloty i hala lotnicza. Koszt - 100 tysięcy marek. Otwarcia lotniska dokonał sam cysarz Wilhelm II

fachowców i konstruktorów. W 1923 roku powołano spółkę „Samolot”, uzyskano wszelkie pozwolenia, a nawet kupiono francuską licencję na samoloty Henriot H-28. Na koniec kwietnia 1924 roku zaproszono do Poznania prezydenta RP.

Otwarcie i co dalej

Stanisław Wojciechowski przyjechał na Ławicę z całą świtą. Czekano na niego przy hangarze, który wytworni udostępniło wojsko. Hala o powierzchni przekraczające 300 metrów kwadratowych miała służyć jako montownia, warsztat naprawczy, biuro konstrukcyjne itp. Prezydent był zadowolony choć naprawdę jego zachwyt wzbudziły dopiero ewolucje powietrzne pilotów 3 pułku. Po oficjalkach można było ruszać. Szybko się jednak okazało, że firma zaczyna prosperować znakomicie, zaś wąskie zaplecze jest niewystarczające. Akcjonariusze postanowili wykupić kolejne grunty. To na nich powstało między innymi laboratorium aerodynamiczne, magazyny i hale produkcyjne.

Sukces za sukcesem

Jak wspomina w swej książce o Ławicy Andrzej Zarzycki firma okazała się dochodową, więc można było zwiększyć zatrudnienie. Początkowo pracowało w niej sto osób. Chwilę później już 400 osób. Powstały też pierwsze rodzime konstrukcje autorstwa inżynierów Tułacza i Bartla. Samoloty szkoleniowe typu BM-2 sprzedawały się znakomicie. Fabryka osiągnęła poziom produkcyjny sięgający stu maszyn rocznie! Tak było aż do 1929 roku...



Nieszczęsny pożar

Okres recesji zaczynający się na świecie dał się we znaki i Poznaniowi. Na domiar złego 12 września 1929 roku nad fabryką rozszalały się płomienie.

Właściwie do dzisiaj nie wiadomo co było ostateczną przyczyną pożaru (z archiwów straży jak i notatek prasowych wynika, że mogło nią być zwarcie instalacji w jednym z magazynów przyp.red.) Faktem jest, że na Ławicę przyjechały jednostki strażackie z całego Poznania. Ogień objął kilka budynków, a sama akcja gaszenia trwała kilka godzin. Niestety pastwą płomieni padły między innymi gotowe części samolotów. Starty były bardzo znaczne. Dość powiedzieć, że po tym pożarze fabryka nie podźwignęła się już z upadku i w 1931 roku oficjalnie spółkę Samolot rozwiązano. Skończyła się „przygoda” z przemysłem lotniczym w Wielkopolsce.

Krzysztof SMURA

Pierwsi pasażerowie

Po zdobyciu Ławicy wydarzenia potoczyły się lawinowo. Powołano do życia szkołę pilotażu i balonową. Na lotnisku szkolono przyszłych pilotów. Ba. Pokuszono się również o otwarcie pierwszego cywilnego połączenia z Poznania do Warszawy. zacytujmy za jedną z ówczesnych gazet „Staraniem stacji lotniczej odbywać się będzie komunikacja napowietrzna między Poznaniem, a Warszawą. Aeroplan może zabrać dwóch pasażerów. Podróż odbywa się mniej więcej dwie godziny Pasażerów oczekiwać będzie samochód przed Hotelem Monopol przy Seweryna Mielżyńskiego.” Maszynę prowadził francuski pilot. 1 czerwca 1925 roku uruchomiono też lotnictwo sanitarne przeznaczając na ten cel samolot typu Henriot, który mógł transportować chorych z miejscowości odległych o 50 kilometrów od Poznania.



Cud w Arizonie



Literatura dla dzieci i młodzieży ma w Polsce długą i bogatą historię. Właściwie byłoby nawet powiedzieć – tradycję. Niektórzy twórcy – choć przemawiali w pierwszym rzędzie do dorosłych – znani są przede wszystkim jako pisarze czy poeci „dziecięcy”. Fakt, czy dany autor napisał dla dzieci jeden utwór czy też kilkadziesiąt nie ma zresztą pierwszoplanowego znaczenia wobec tego, iż była to literatura jednobiegunowa: patriotyczno – umoralniająca. Po części odpowiada za to historia – kanon taki, obowiązujący w czasach zaborów i II Rzeczypospolitej również najmłodszych, z założenia ściśle przestrzegany – niechętnie dopuszczał nowe pozycje, zwłaszcza zaś te, które pomijały zagadnienia wznieśli i „sluszne”. Po części ów tradycyjny wzorec (z przesunięciem, rzecz jasna, niektórych akcentów) niezmiennie obowiązywał w okresie Polski Ludowej. Czasami niektórzy twórcy, jak Janusz Domagalik i przede wszystkim Stanisława Platówna, nieśmiało sygnalizowali kwestie trudne, choćby istnienie przestępczości nieletnich. Zawsze jednak świat dzieci i dorosłych rozdzielała kurtyna przesłaniająca problemy dojrzałości. Dzieciństwo i młodość winny być bezzstresowe, a pomoc rodziców i opiekunów pozwolić powinna na pogodnie przyjmowanie codzienności. Takie były i po części nadal są kanony polskiej literatury dziecięcej i młodzieżowej.

Gdyby ktoś zapytał Zosię Pietrzak, bohaterkę książki Zdzisława Domolewskiego, czy uważa się za osobę dorosłą, z pewnością odpowiedziałaby przecząco. Zapewne nie uważałaby się również za doświadczoną. Po prostu – to co zna z rodzinnych Świniar traktuje jako normę codzienności a pozytywne sygnały ze strony dorosłych odbiera z pewną dozą nieufności. Tymczasem dla czytelnika nie ulega żadnej wątpliwości, że opisane tu dzieciństwo to codzienna fatalistyczna akceptacja surowej rzeczywistości. Zosi jest ciężko i musi być twarda, do tego stopnia, że wspomnienia z lepszej, bądź co bądź przeszłości traktuje po trosze obojętnie, jako przesuwające się w pamięci i przywoływane przez stare fotografie wspomnienia. Zaiste, los nie był

laskawy dla tej dziewięciolatki i jej bliskich. Gdyby ktoś jednak zdołał wniknąć do myśli Zosi lub do zeszytu, w którym za pomocą rysunków dokumentuje wydarzenia, wówczas okazałoby się, że w życiu dziewczynki poważne i uprawnione miejsce zajmuje świat marzeń. Nie są to majaki o dorosłości – tu Zdzisław Domolewski wykazuje się dużą znajomością psychiki dziecięcej – ale raczej niezależne od woli bohaterki ucieczki w nie rzeczywistość. Ponieważ zaś narratorką opowieści jest sama Zosia, Zdzisław Domolewski (i chwała mu za to) nie stara się wyjaśnić i w swoim imieniu tłumaczyć tego, co kłóci się z poczuciem rzeczywistości. W końcu nie jest takie ważne, jakie odniesienie do rzeczywistości ma szczęście dziewięcioletniej dziewczynki. Ważne jest to, że pomaga Zosi odmieńać jej los.

Wieś Świniary leży w strefie – od głośnego swego czasu filmu dokumentalnego – nazywanej umownie Arizoną. Jest to inna Polska, ta, której nie pokazuje się w mediach, kraj bez nadziei, bez wczoraj i bez jutra. To miejsce, z którego jedynie nielicznym udaje się i zazwyczaj za cenę najwyższych wyrzeczeń wydostać do innego wymiaru. Co więcej, tylko niewielu zdaje sobie sprawę, że w ogóle należy stąd uciec. Nie dziwny się zatem, że Zosia, dziewczynka ambitna i ponad wiek rozwinięta, rozwiązanie własnych i cudzych problemów odnajduje w krainie nierzeczywistej. Po prostu nie zna innej drogi. Jest na to zbyt młoda i zbyt samotna. Zresztą ta droga, po której kroczy z młodszą bohaterką jest piękna, emanuje bogactwem i głębią doznań.

Rad jestem, że Zdzisław Domolewski, pisarz, wobec którego nabrałem sympatii, znajduje drogę do dialogu z młodocianym czytelnikiem poprzez uczciwy i otwarty przekaz o niełatwej rzeczywistości. Czy jego próby odniosą sukces – trudno dziś wyrokować. Mam jednak nadzieję, że podobnie, jak w przypadku włoskiego neorealizmu, który wraz ze sztandarowym „Cudem w Mediolanie” otworzył wielu oczy dotąd zamknięte, „Zosia pleciona” okaże się „cudem w Arizonie”, który jeśli nie pomoże, to chociaż uchyli kurtyny wobec spraw niechętnie dotąd prezentowanych. Oby tak się stało...

Tomasz DYMACEWSKI

Zdzisław Domolewski, *Zosia pleciona*, Media Rodzina, Poznań 2003

Mark Breier to jeden z najbardziej znanych doradców i ekspertów Doliny Krzemowej. Jest inwestorem w branży internetowej i ekspertem marketingu o międzynarodowej sławie. Jego błyskotliwa kariera rozpoczęła się w latach 90-tych – Mark Breier jest współtwórcą hiperwzrostu Amazon.com i Beyond.com. Obie firmy wprowadził do pierwszej dziesiątki liderów e-biznesu. To Breier był autorem niezwykłych kampanii reklamowych Amazon.com, które dziś są omawiane jako modelowe przykłady nowatorskich i skutecznych działań marketingowych na wielu amerykańskich uniwersytetach.

Jego książka „Szybcy i mądrzy – decyzja w 10 sekund”, którą promował także w Polsce, podczas targów Infosystem w Poznaniu i Akademii Ekonomicznej, oraz w Szkole Głównej Handlowej w Warszawie, zawiera wiele praktycznych rad, jak stworzyć i rozwinąć swoją firmę, jak przyciągnąć i utrzymać klientów – a wszystko to na przykładach prawdziwych rekinów tej branży, szefów Microsoftu, Cisco czy Amazon.com.

Obecnie Mark Breier jest partnerem zarządzającym funduszu venture capital „Fast Angel Ventures”, który zajmuje się inwestowaniem i doradztwem w najnowszych technologiach.

10 sekund dla Polski

Przესłanie jest bardzo proste: firmy, które chcą osiągnąć sukces na rynku, muszą działać szybko i mądrze. Należy też skupić się na kliencie, działać 24 godziny na dobę, a przede wszystkim dołożyć wszelkich starań, by zaspokoić potrzeby tego klienta – i dotyczy to wszystkich pracowników – takie „10 –sekundowe rady” znany amerykański inwestor i ekspert marketingu Mark Breier zawarł w swojej książce „Szybcy i mądrzy – decyzja w 10 sekund”. Książka stała się prawdziwą wyrocznią dla menedżerów za oceanem.

Nie chodzi o pieniądze...

Zdaniem Marka Breiera wbrew obiegowym poglądom nie wszystko zależy od ilości pieniędzy, jakie posiada dana firma. Uważa on, że osiągnięcie zysków zależy przede wszystkim od stopnia zadowolenia klienta. Oczywiście, firma potrzebuje pieniędzy, ale i ludzi, którzy mają w sobie pasję i entuzjazm do pracy, a przede wszystkim chcą, by klient był zadowolony z ich usług. Dlatego firma, które nie ma dużych pieniędzy, ale dobrze dba o swoich klientów, z pewnością pobije na rynku taką, która ma dużo pieniędzy, ale nie przejmuje się klientem...



– Przede wszystkim trzeba się zorientować, z czego nasz klient jest niezadowolony, czego potrzebuje albo co jest nie zrealizowane zgodnie z jego potrzebami – i dać mu to. Ale to tylko połowa sukcesu – potem trzeba zapytać, co było dobre, co było złe, trzeba mieć tę interakcję, stały kontakt z klientem, nie tylko rozwiązywać jego problemy. I to prowadzi do szczęśliwego klienta i odpowiednich zysków – uważa Breier.



Na przykład pomysł na Amazon.com pochodzi od Jeffa Bezosa, który zauważył, że wszyscy, dokładnie wszyscy wśród jego znajomych mieli kiedyś problemy ze znalezieniem jakiejś książki, którą chcieli mieć. Pomysł na rozwiązanie tego problemu przyniósł sukces firmie Amazon.com. Jednak tak samo ważny dla sukcesu okazał się ten ciągły kontakt, komunikacja z klientami. I chodziło nie tylko o wymianę grzecznościowych maili. Firma tworzyła wśród nich pewne grupy problemowe, rozpoznawała ich potrzeby i cały czas pracowała nad nowymi technikami biznesowymi – dla dobra klienta.... Kto odpowiada za sukces?

Sukces firmy Microsoft czy Amazon.com, a właściwie wszystkich firm z Doliny Krzemowej, to także – jak uważa Mark Breier – odpowiedzialność. W ich strukturze doskonale wiadomo, kto jest za co odpowiedzialny. Bo tylko wtedy, kiedy dokładnie wiadomo, kto jaki ma zakres obowiązków, można stwierdzić, czy odnosi sukces, czy trzeba się z nim pożegnać...Taki system jest charakterystyczny właśnie dla firm, które osiągnęły sukces, dla gigantów jak IBM, Microsoft, Nokia, czy na przykład Sanyo, która bardzo szybko zdobywała teraz udziały w rynku.

Jednak – o czym zapomina wiele firm upojonych powodzeniem - należy oddzielić długoterminowy sukces firmy na rynku od tego, jak ją się ocenia na giełdzie, jaka jest wartość jej akcji. W krótkim czasie inwestycja niekoniecznie musi się okazać sukcesem, ale na dłuższą metę przyniesie zysk na rynku akcji. Ale decyzji w biznesie nie można podejmować tylko po to, by podbić notowania na rynku giełdowym, one powinny być podejmowane, by zaspoko-

kając potrzeby klienta, bo to stanowi o prawdziwym sukcesie. To na przykład spowodowało załamanie rynku internetowego: fascynacja inwestorów, którzy uwierzyli w hasła i programy „dorób się szybko i bez wysiłku” akcjami tego rynku. Ale stara maksyma mówi, że jeśli coś wygląda podejrzanie dobrze, to najprawdopodobniej wcale takie dobre nie jest – i to powiedzenie się właśnie sprawdziło...

Internet daje więcej szans na rozwój biznesu niż jakiegokolwiek inne medium, ale trzeba pamiętać, że należy działać małymi krokami i rozwijać swoją firmę równomiernie, a nie chcieć mieć wszystko od razu. Na przykład Amazon.com w Niemczech kupił tam wiodącą firmę sprzedającą książki – zarządzanie odbywało się w Niemczech, ale programiści pracowali na Florydzie, a ludzie zajmujący się obsługą klienta – w Afryce. Tak więc dzisiejsza firma internetowa ma naprawdę do dyspozycji cały świat...

Wróżę wam powodzenie

To pierwsza wizyta Marka Breiera w Polsce i jak twierdzi, jest to dla niego niezwykle ciekawe doświadczenie.

- Wiem, że w Polsce naprawdę nietatwo teraz robić biznes. Ale w USA również firmy płacą podatki, choć – to prawda - ogólna tendencja jest taka, by zmniejszać te obciążenia dla firm i ich koszty. Ale wróżę wam powodzenie – powiedział na konferencji prasowej. – Sytuacja na świecie jest bardzo korzystna dla waszego kraju, rozwojowi sprzyja też wejście Polski do Unii Europejskiej. To przyniesie wiele korzyści i z pewnością już niedługo usłyszymy o polskich dynamicznych firmach, które dystansują zagraniczną konkurencję...

Oczywiście najlepiej byłoby, gdyby polityka państwa sprzyjała ze wszystkich sił rozwojowi prywatnej przedsiębiorczości. Wiadomo przecież – potwierdzają to przykłady z całego świata – że wystarczy stworzyć warunki do uwolnienia energii przedsiębiorców, a natychmiast powstaną firmy, z których wiele może osiągnąć sukces. A to z kolei przyniesie korzyść całej gospodarce. Myślę, że prawa rynku zadziałają w końcu także w Polsce, niezależnie od jej specyfiki...

Lilia ŁADA

Daleka droga z Edenu

Ludzie pięćdziesięcioletni nie zdolali sobie – jak dotąd wywalczyć zbyt wiele przestrzeni w literaturze. Jeśli już się tam pojawiają, to z reguły jako rodzice stanowiący tło perypetii głównych bohaterów – ludzi młodych. Niegdyś, kiedy średnia ludzkiego życia była znacznie niższa niż obecnie, blisko pół wieku życia oznaczało wchodzenie w jesień bytowania, z wszelkimi tego konsekwencjami. Pięćdziesięciolatkom wolno było jedynie stanowić mniej lub bardziej pozytywny wzór dla potomnych: dzieci, a nawet wnuków.

U zarania wieku XXI, pięćdziesięcioletni człowiek ma sporo do powiedzenia i do zrobienia. Jeszcze się ze sceny życia nie wycofał. Przeciwnie – uwolniony od opieki nad usamodzielnionym potomstwem, dokonuje rozrachunku z dotychczasowym życiem, czasami z gruntu je przewartościowując. Jeśli nie decyduje się na szukanie nowego początku, to przynajmniej bierze i taką ewentualność pod uwagę. Z reguły cofa się wobec ewentualności ryzyka, poprzestając na sile przyzwyczajenia, na tym, co znajome, co nie powoduje groźących niebezpiecznym stresem zmian. Wszystko to nie oznacza, aby kolejne losu ludzi pięćdziesięcioletnich stanowiły rozdział zamknięty, a ich egzystencja utkana ze wspomnień, coraz bardziej odwracała się od współczesności.

Bohaterka kolejnej polskiej powieści współczesnej „z życia kobiet pracujących” liczy sobie lat właśnie pięćdziesiąt. Wzięta dentystka, osoba posiadająca nieliczne, acz wypróbowane grono przyjaciół, na pozór spokojna i zrównoważona, w żadnym razie nie powinna uchodzić za polski odpowiednik Bridget Jones „w dwadzieścia lat później” Małgorzata wie, czego chce i równie wyraźnie potrafi wskazać, czego za żadne skarby świata nie zaakceptuje. Krystyna Januszewska – autorka – każe Małgorzacie opowiadać w pierwszej osobie, dzielić się z czytelnikiem najbardziej intymnymi odkryciami, nawet za cenę pewnej naiwności, którą nie każdy rad zaakceptować. To jednak świadczy o sile i spontaniczności przeżyć, w których – rozpoczynając lekturę – musimy się zanurzyć. „Niebo ma kolor zielony” to w gruncie rze-

czy opowieść o zagubieniu i niespełnieniu. Dziwactwa Małgorzaty mogą irytować, lecz tylko do chwili, gdy wraz z nią odkrywamy, jak bardzo jest manipulowana przez

bliskich. Właściwie możemy się tego domyślać od samego początku, jednak skalę i głębię tego fenomenu odkrywamy poniewczasie. Bezradność dojrzałej, inteligentnej i zaradnej wszak w realiach codzienności istoty po prostu musi porażać. Kiedy zaś nadchodzi nieunikniony bunt, odrzucenie dotychczas akceptowanych wartości, zażenowani nieco romantyzmem owego porywu, pytamy mimowolnie o cenę. To cena wysoka, pozostawiająca otwartym bilans zysków i strat. W życiu wielu ludzi tak dramatyczne sytuacje i trudne wybory stanowiące ich konsekwencje nie są bynajmniej niczym osobliwym. Tu docenić trzeba szczerość Januszewskiej, która swej bohaterki nie oszczędza, ani nie usprawiedliwia.

Osią wydarzeń tu ukazanych staje się ogród, eden starzejącej się heroiny, dla której stał się treścią życia, celem egzystencji i usprawiedliwieniem wielu wyborów. Czasami śmieszy nas ta fascynacja, bywa, że irytuje. Jest to jednak fascynacja prawdziwa, niezłagana, zauroczenie, które mogłoby się stać udziałem każdego z nas. Podobnie jak prawdziwy jest fakt objawienia się kolejnej polskiej współczesnej pisarki, od której książki oderwać się nie sposób.

Tomasz DYMACEWSKI

Krystyna Januszewska, Niebo ma kolor zielony, Zysk i Ska Wydawnictwo, Poznań 2004



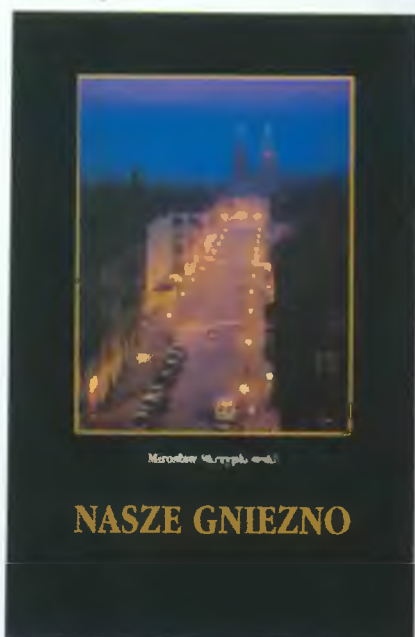
Miłości dowiedzione

Na karty „Pegaza” z prawdziwym wzruszeniem wprowadzam nowy dowód artystycznej pasji Mirosława Skrzypkowskiego. Gość to na naszych łamach nie-rzadki, niewielu jest bowiem w Wielkopolsce fascyna-tów obiektywu, z równą maestrią, jak i konsekwencją powracających do tego samego tematu. Temat jest zaś rozległy i na imię mu Gniezno. Miasto ważne i chociaż dziś metropolia to kościelna tylko, gród nie-zwykły, nieskłonny do pławienia się li tylko w atmos-ferze swoistego symbolu.

Fakt iż Gniezno jest ikoną kultury polskiej, profilem jej poprzez wieki, rozumie się sam przez się. Wiele miał też i ma nadal stołeczny gród piastowski, swych piewców. A jednak Gniezno odpląca uznaniem, ba miłością nawet tym jedynie, którzy kochają je i potrafią swojej miłości dowieść. Jak Mirosław Skrzypkowski właśnie.

Nie tylko miastu złożył Skrzypkowski hołd swoim nowym albumem. „Nasze Gniezno” opowiada o Marii Skrzypkowskiej, choć przecież nie ma Jej na zdjęciach w albumie. Jeśli ma się chociaż odrobinę wyobraźni, gram uczucia w piersi, świadomość zamknięcia wraz z pożegnaniem Żony wielkiego rozdziału życia i twórczości autora, staje się jednak oczywistością.

Jakie jest więc to „nasze”, ale słuszniej byłoby rzec: „ich” Gniezno? To miasto, które przez ćwierć wieku (sądzę to nie tylko po kolejnych papieskich pielgrzymkach, ale i po didaskaliach tu i ówdzie rzucających się w oczy – markach samochodów, trendach mody, itp.) budziło się do nowego życia. Nagroda losu dla kolebki naszej państwowości to możliwość przeżywania milenium Patrona Europy i jżjazdu roku 1000 w wolnej Polsce. Nagroda dla artysty to możliwość stałej obecności przy tych doniosłych wydarzeniach, dokumentowaniu ich, a jednocześnie nadawaniu im



własnej, sobie tylko właściwej wizji. Wiele tu poezji, także tej dnia powszedniego, nagłych kontrastów, które wychwycić i udokumentować może tylko wrażliwie na świat i ludzi otwarta dusza. Nie brak zadumy nad minioną wielkością, ale i blasków

odrodzonej sławy miasta, które przeżywało swoją kolejną młodość w odrodzonej Polsce, na przełomie stuleci i tysiącleci.

„*Nasze Gniezno*” to piękna kompozycja, której poszczególne elementy w przemyślany i przemyślny sposób składają się na całość, tak właśnie przez swego twórcę zaplanowaną. Zdaję sobie sprawę, ile kosztowało autora selekcjonowanie obfitej dokumentacji i jakże trudny nieraz wybór, który nader często okazywał się złem koniecznym pomiędzy rzeczą dobrą a niewątpliwie dobrą. Jest to jednak przywilej dany niewielu: tym którzy wiedzą czego pragną i potrafią swój cel osiągnąć. Zatem zdając sobie sprawę z licznych dylematów, jakie musiał zlimitowany objętością swego dzieła rozstrzygnąć Mirosław Skrzypkowski. Zwierzę się P.T. Czytelnikom, iż uważam autora albumu za mistrza obcowania z historią, zagospodarowywania jej śladów w otoczeniu współczesności. Jest tu kilkanaście zdjęć, które prowokacyjnie wręcz zestawiają ze sobą elementy pochodzące z różnych epok, aby tym silniej, tym znaczej podkreślić symbiozę czasu przeszłego i chwili obecnej. Tu – dla mnie przynajmniej – miłość Skrzypkowskiego wobec miasta, któremu oddał serce i myśli dokumentuje się najpełniej.

A druga miłość? Gdzież ona? Gdzie jej ślady? Odnajdujemy ją na stronie ostatniej, gdy w aż nadto wyraźnej symbolice – zimowego pejzażu oświetlonego zachodzącym słońcem – napotykamy na utrwalone praprawną fotograficzną techniką, wprost na kliszy zapewne, słowa, które tu przytoczę, proste i wzruszające: Pamięci Marylki – mojej ukochanej Żony album niniejszy poświęcam. I już tylko podpis autora. Pochylmy się nad tą stroną w zadumie...

Zapytałem Autora, czy będzie jeszcze do tematyki gnieźnieńskiej powracał. Odrzekł – nie, to temat już zamknięty. Wraz z pewnym rozdziałem życia – dodajmy. Lecz trudno sobie wyobrazić, aby dowiedzione miłości Mirosława Skrzypkowskiego okazały się rachunkiem definitywnie zamkniętym. Apetyt na ludzi, ich sprawy i świat cały prowadzi wszak artystę ku dalszej działalności w Kapitułe Fotoklubu Rzeczypospolitej Polskiej, związkowej pracy wśród artystów fotografików, umiłowanej nade wszystko pracy dydaktycznej, między innymi w Wyższej Szkole Umiejęt-

ności Społecznych, gdzie wyklada fotografię prasową. Mirosław Skrzypkowski, który nie odrzeka się od stworzenia kolejnego albumu – tym razem ze Szlakiem Piastowskim w głównej roli – ma bowiem do dowiedzenia jeszcze wiele w obszarze swej wielkiej, wciąż nienasyconej miłości – dla sztuki, której służyć nie przestanie.

Tomasz DYMACEWSKI

Mirosław Skrzypkowski, *Nasze Gniezno*, Legro s.c., Inowrocław 2002

Między niebem a ziemią



Ląka na zboczu góry w zadziwiającym kształcie serca, mozaika kolorowych klocków, które okazują się... ogromną ilością ręcznie tkanych dywanów, malownicza wioska położona na...środku oceanu – takie właśnie widoki naszej planety „z nieba”, czyli z powietrza można było oglądać na jedynej w swoim rodzaju wystawie fotografii „Ziemia z Nieba - Portret planety u progu XXI wieku – Yann Artus-Bertrand Fotografia”. Była ona prezentowana do końca kwietnia w Holu Wschodnim MTP, ale mimo że już się skończyła, to – jak mają nadzieję jej organizatorzy – pozostanie zwiedzającym na długo w pamięci. A przede wszystkim pozwoli spojrzeć na unikalny skarb – naszą planetę – z zupełnie innej perspektywy...

– Bertrand fotografuje naszą ziemię od ponad 13 lat – wyjaśnia organizatorka wystawy Sylvie Derdacki, prezes firmy Światowid i organizator wystawy. – W tym czasie odwiedził ponad 100 krajów, spędził w helikopterze ponad 300 godzin i przeleciał setki tysięcy kilometrów, by zrobić prezentowane tu zdjęcia. To ogromna praca, przede wszystkim żeby zdobyć odpowiednie pozwolenia, bo często jest podejrzewany o szpiegostwo... Czasami trzeba cze-

– Dopiero na tych zdjęciach naprawdę widać, co my robimy z tą ziemią, jak potrafimy ją niszczyć i jaka jest piękna, jeśli ludzie jej nie przeszkadzają – opowiada Sylvie Derdacki. – Stąd właśnie pomysł fotografii, które zdaniem ich autora lepiej przemówią do wyobraźni niż jakiegokolwiek słowa. Bo dobrze można chronić tylko to, co dobrze się zna.

Z Poznania wystawa pojechała dalej – bo takie jest jej przeznaczenie: kursować po



kać dwa i trzy lata. Ale wspaniale jest to, że kiedy już zdjęcia powstaną, to dzięki nim widać, jaka nasza ziemia jest piękna i niezwykła i że jest dziełem sztuki, które fotograf ma szczęście podziwiać...

Niestety, na zdjęciach bardzo dokładnie widać też, że nasza planeta wymaga nie tylko miłości, ale i obrony: rzeki zmieniają kolor pod wpływem toksycznych ścieków, favelas – czyli południowoamerykańskie osiedla dla ubogich – wyrastają jak grzyby po deszczu, a rabunkowa gospodarka człowieka doprowadziła do zniszczenia wielu unikalnych krajobrazów. Każda fotografia jest opatrzona odpowiednim komentarzem, który pozwala dostrzec to niebezpieczeństwo w pozornie uroklivych pejzażach.

świecie i pokazywać, jak wygląda „ziemia z nieba”. I jak mogłaby wyglądać, gdyby nie niszczycielska działalność człowieka. Dotąd obejrzało ją na całym świecie ponad 10 milionów ludzi w ponad 30 metropoliach świata. W Polsce, w trzech miastach, gdzie była prezentowana – w Warszawie, Krakowie i Poznaniu – ponad milion. I chyba ten rekord frekwencji potwierdza najlepiej, jak ważnym wydarzeniem była ta wystawa. Może dzięki niej do znacznie większej liczby ludzi dotrze świadomość, że ziemia taka, jaką znamy i podziwiamy za wyjątkowe piękno, jest *wbrew pozorom tworem bardzo ulotnym i kruchoym*, a ochrona środowiska to nie tylko sprawa ekologów, to obowiązek każdego z nas

Lilia ŁADA

Fot. Serwis Prasowy MTP



Wyższa Szkoła Umiejętności Społecznych

Wydział Zarządzania i Marketingu

Negocjator, Menedżer mediów, Menedżer kultury,
Menedżer promocji/public relations

Wydział Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej

Dziennikarz, Editor, Broker informacji

Kierunek Informacja Naukowa i Bibliotekoznawstwo

Jedyny w Polsce!!!

Kierunek Ochrona Prawna Dóbr Kultury

Akademickim szlakiem z:
Uniwersyteciem im. Adama Mickiewicza,
Uniwersyteciem Śląskim w Katowicach,
Akademią Muzyczną im. I.J. Paderewskiego w Poznaniu

(umowy o współpracy)

Studia Podyplomowe

- ✓ Ochrona Prawna Dóbr Kultury
- ✓ Menedżer Kultury
- ✓ Mediacje i Negocjacje
- ✓ Informacja Naukowa, Elektroniczna i Bibliotekarstwo



www.wsus.poznan.pl

POZNAN ul. Głogowska 26, tel. (61) 886 28 06, 886 28 07

STUDIA LICENCJACKIE, MAGISTERSKIE I PODYPLOMOWE
STYPENDIA: SOCJALNE, NAUKOWE, DOKTORANCKIE, HABILITACYJNE